

MAGAZYN *razem z dodatkami*



Zmiana czasu przypomina, że każdy z nas nosi w sobie własny zegar

● Gadomski o toksycznej bombie w Lublinie ● Muniak Staszczuk: Musiałem sporo przestawić w głowie
PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów

kurier lubelski

Piątek-Niedziela 27-29.03.2026 | Nr. 37 (18.213) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej. Szef MON i prezydent Chełma podpisali list **str. 6**



Tu wypadek, tam kolizja. Gdzie ich było najwięcej? Policja przedstawiła raport **str. 4**

Sąd wydał wyrok. Po urodzeniu matka porzuciła dziecko w chlewni **str. 5**

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



Na tę wiadomość kibice zużła czekali od lat. Ratusz ogłosił przetarg na modernizację stadionu

STR. 32



– Zebraliśmy dane 407 straży miejskich w Polsce i mogę z ręką na sercu powiedzieć, że ani jedna nie działa prawidłowo – mówi Szymon Nieradka, współautor rankingu **str. 16**

REKLAMA

0011484841

Zdrapki

DOŁĄCZ DO GRACZY DRAPACZY

do zdrapania nawet 2 000 000 zł

GRAJ W PUNKTACH

LOTTO

18+

Alicja Polewska

TRZEPACZKA



Szukam. Takiej prawdziwej. Z wikliny. Jak ta, którą pamiętam z kamienicznego mieszkania, w którym żyliśmy razem z Babcią i Ciocią.

To było zadanie Ojca. Związał dywany i szedł na podwórko. Przerzucał je przez stary trzepak pod gruszą. Stawałam na balkonie i zachwycona patrzyłam, jak złotawy kurz z trzepanych dywanów wiruje w słońcu.

Pa, pac, pac... niosło się między kamienicami.

Przed Niedzielą Palmową trzepanie szło właściwie na okrągło. Co chwilę któryś z sąsiadów wyłaniał się z piwnicznych drzwi i zaczynał walić. W tym czasie „na pokoje” wjeżdżała pasta do podłóg. Do dzisiaj pamiętam jej zapach i zabawę na szmacie - z reguły to był jakiś stary sweter (najlepiej sprawdzał się taki z czystej wełny). Najpierw Mama albo Ciocia pieczołowicie rozprowadzały pastę, potem uruchamiały froterkę, a kiedy podłoga zaczynała lśnić - ja wkraczałam.

Ależ to była frajda!

Ten trzepak był wyjątkowy. Dwa drewniane słupy i żelazny drąg między nimi. Pewnie już go nie ma. Drewno przegniło, a drąg wylądował na skupie złomu. Nie dało się na niego łatwo wejść, jak na te „nowoczesne” przy blokach - te miały niżej poprzeczkę, na której można było robić fikołki; cały z metalu i umocowany na sztywno w betonie. Ten na moim podwórku trochę się ruszał, szczególnie po intensywnym trzepaniu wielu dywanów, więc ojcowie schodzili się któregoś dnia i coś majstrowali przy słupach, żeby jednak żelazny drąg nam na głowy nie spadł. Widzieli przecież, że włożyliśmy po ogrodzeniu na gruszę i stamtąd na trzepak; wisiało się na nim na czas - kto spadł pierwszy, ten przegrywał.

- Coś ten odkurzacz słabo ciągnie - powiedziałam któregoś dnia. - Przydałoby się trzepanie.

Mąż spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. - Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie mamy trzepaka. Nikt w okolicy nie ma. Po to są odkurzacze, odkąd je wymyślili. Zresztą nie mamy też trzepaczki, przecież szukałaś na jarmarkach i nic.

- Ale pamiętasz te wiosenne porządki i łoskot trzepania na podwórkach?

- Daj spokój.

Trzymamy się rytuałów, cyklu w roku. Świąt. Mycia okien, zielonych gałązek brzozywych i wierzbowych kotków w wazonie.

Panujemy nad czasem.

Jeszcze jeden raz.

Pac, pac, pac... nie słysząc.

Adam Bula

IGRZYSKA PAROLIMPIJSKIE
W NIEMOŻLIWYCH FIKOŁKACH

Zaliczam się do tej większości populacji, która za cholerę nie zrobi już szpagatu ani salta w tył. Na naszych oczach Kancelaria Prezydenta RP odkrywa, że podobnie ma też spora część miłośników boksera na salonach.

Problem jest zresztą szerszy i dotyka całej narracji partii Prawo i Sprawiedliwość, w którą Karol Nawrocki się wpisuje lub którą stara się nadpisać. Przyjęcie bowiem ostrego kursu przez namaszczonego na delfina Przemysława Czarnka oznacza stosunkowo mały kłopot dla rządzącej koalicji, za to frontalny atak na własną historię i rząd. Czyli wprost - na dokonania Mateusza Morawieckiego.

I to się właśnie dzieje: z taktycznych powodów PiS atakuje akurat te dziedziny, do których zachowało się najwięcej dowodów, że to PiS jest za nie odpowiedzialny. Oczywiście - propaganda w ogóle, a naszej prawej strony zwłaszcza zakłada, że jej adresat ma tylko połowę mózgu. Ale nawet tyle można przeciążyć, jeśli właściciel spróbuje nadążyć za fikołkiem w stylu Czarnkowe OZE-sroze na własnym dachu, który nie jest jego.

Wspomniane powody taktyczne to fakt, że PiS nie walczy dziś z Tuskiem. Nadal obrzuca go oczywiście błotem w każdym zdaniu, ale adresatem tych tekstów są utraceni wyborcy, którzy odeszli w stronę Konfederacji, a najwięcej - w najgorsze z punktu widzenia partii Kaczyńskiego miejsce - do Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Gdy uświadomimy sobie, że rządzący 8 lat PiS zupełnie nieźle - poza samą końcówką - funkcjonował w Unii Europejskiej, a dziś stara się być bardziej antyeuropejski niż totalnie antysystemowy Braun, to zrozumimy źródło tego sezonu na dziwaczne fikołki.

System ETS, umowa Mercosur, węgiel vs OZE, wielkie kredyty na wiele lat w obcej walucie - to główne tematy podnoszone dziś przez PiS, do których jest najwięcej nagrań, na których PiS jest w nie umocowany lub wprost odpowiedzialny. To po prostu musi przeciążyć system. W tym sensie, że nawet właściciele nie do końca sprawnie funkcjonujących mózgów zaczną odczuwać pewien poznawczy (sorry za to słowo) dysonans. Co w rezultacie sprawi, że przy PiS - jeśli partia będzie dawała

więcej tego samego w nadziei na inny efekt - pozostaną już tylko wyznawcy. W wypadku których mniej jest istotne, ile posiadają mózgu w mózgu, bo i tak z definicji w wyborze swoich partyjnych sympatii go nie używają.

To nas prowadzi do znacznie nawet ciekawszego szpagatu, w którym nieuchronnie pograża się ekipa prezydencka. Karol Nawrocki prowadzi bowiem 3 równoległe agendy, które - w przeciwieństwie do geometrii... a nie czekajcie, skorzystamy z okazji i zgubimy w tym miejscu statystycznego wyborcę PiS, żeby mu już więcej nie mieszać w już przeciążanych zwojach.

Jak więc pamiętamy, proste równoległe to proste leżące na tej samej płaszczyźnie, które nigdy się nie przecinają i zachowują stałą odległość od siebie na całej długości. Oczywiście nie musimy tłumaczyć, że prosta to nieskończona, jednowymiarowa figura geometryczna, która nie ma początku ani końca i biegnie w obu kierunkach jednostajnie.

OK, koniec żartów. Problem prezydencki polega na tym, że równocześnie i równoległe:

- agresywnie atakuje rządzącą koalicję, starając się minimalizować jej szanse na wygraną w przyszłorocznych wyborach. Tutaj jest wiarygodny - w przeciwieństwie do PiS - dla całej prawej strony sceny politycznej;

- wzmacnia przy tym, udanie wykreowany jeszcze w kampanii, wizerunek „mocnego” zawodnika. Nawet jeśli ostatnie, głośne obsztorowanie dziennikarza TVN było „spontanem”, to równie dobrze mogło być na zimno zaplanowane. „Maczo Nawrocki super ustawił do pionu dziennikarzynę, he, he”. No po prostu samiec alfa czy sigma, jak nazywają go zwolennicy, pokazał się ze swej „najmocniejszej” strony...

Punkt 1 i 2 wspierają agendę trzecią i nadrzędną: Karol Nawrocki chce być szefem polskiego MAGA, patronem całej prawej strony sceny politycznej, Trumpem, na jakiego nas stać. Temu też służą nieustające próby poszerzenia prezydenckich uprawnień - im bardziej na rympał, tym lepiej.

I tu dochodzimy do istoty prezydenckiego szpagatu. Zupełnie nie jest istotne, czy prezydent RP przyjmuje wprost polecenia z ambasady USA, czy sam z siebie działa tak, że... tak to wygląda. Po prostu interesy USA nie są 1:1 zgodne z polską racją stanu. Więc nie można pozować na mocnego zawodnika, samca alfa, jak coraz częściej wchodzi się w sytuacje, w których wygląda się jak wasal na posyłki.

No nie da się.

Ta wizyta [prezydenta na Węgrzech] zaszkodziła polskiej polityce zagranicznej, bo nie jest polityką Polski ingerowanie w procesy wyborcze w innych krajach. Tym bardziej na rzecz kandydatów, którzy pomagają Putinowi, więc moje wielkie rozczarowanie, że pan prezydent zachowuje się zgodnie z logiką ideologiczną i partyjną, a nie państwową

Tabuny szczerów grasują na osiedlu. Przyciąga je wiata śmietnikowa

Aleksandra Szymczak
Lublin

Problem wraca jak bumerang. Mieszkańcy osiedla Górka Czechowska skarżą się na szczerzy, które od dłuższego czasu grasują w okolicy wiaty śmietnikowej przy ul. Kosmowskiej 1C.

Pan Michał, nasz Czytelnik i mieszkaniec osiedla Górka Czechowska, zwrócił się do redakcji „Kuriera” z prośbą o interwencję. - Przy wiacie żyje kolonia szczerów, a spółdzielnia nie reaguje - mówi pan Michał.

Choć widok gryzoni w mieście nie jest dziś rzadkością, ich obecność tuż obok bloków mieszkalnych budzi niepokój. Szczerzy mogą przenosić choroby, a ich pojawienie się często oznacza jedno - łatwy dostęp do jedzenia. Najczęściej winne są przepełnione lub nieszczelne śmietniki oraz brak porządku.

Administracja Spółdzielni Mieszkaniowej Przedsiębiorstw Gospodarki Komunal-

nej potwierdza, że zgłoszenia wpłynęły. Jak zapewnia, sprawa nie została zignorowana. - W związku z analizą zgłoszeń podjęto również kontakt ze Spółdzielnią AZS, na której terenie znajduje się skarpa będąca potencjalnym miejscem bytowania i przemieszczania się gryzoni na obszar naszego osiedla. Podjęto działania organizacyjne oraz przygotowawcze, w tym uzgodnienia z sąsiadującą Spółdzielnią Mieszkaniową „AZS”.

Zaplanowano również uporządkowanie samej altany śmietnikowej oraz jej otoczenia. Cel jest prosty: ograniczyć dostęp gryzoni do pożywienia.

Spółdzielnia informuje, że deratyzacja na terenie osiedla prowadzona jest regularnie i zawsze zlecana wyspecjalizowanym firmom. W związku z obecną sytuacją zaplanowano kolejną interwencję. - Działania zostaną podjęte w najbliższym możliwym terminie - zapewnia administracja.

Nowe przegubowce pojawią się lada dzień

Artur Jurkowski
Lublin

Takich autobusów nie ma jeszcze we flocie lubelskiego MPK. Pierwsza piątka przegubowych hybryd typu plug-in dotrze do Lublina jeszcze w marcu.

- To nowy rozdział w historii MPK Lublin, gdyż po raz pierwszy na nasze ulice trafią przegubowe autobusy hybrydowe - podkreśla Tomasz Fulara, zastępca prezydenta Lublina.

Chodzi o autobusy Solaris Urbino 18. Dostarczy je spółka

od Solaris Bus & Coach. Umowę na kupno 20 pojazdów MPK podpisało w czerwcu 2025 r. Kontrakt opiewa na 72,5 mln zł.

Pierwsze pojazdy są już gotowe. - Są co prawda jeszcze w fabryce, ale pierwsza piątka dotrze do Lublina jeszcze w marcu, a kolejne w kwietniu - zapowiada Tomasz Fulara.

To bardzo komfortowe i nowoczesne pojazdy hybrydowe typu plug-in, co oznacza, że są wyposażone w silnik spalinowy oraz silnik elektryczny. MPK dostało dofinansowanie z Programu Fundusze Europejskie dla Lubelskiego 2021-2027.



18-metrowej długości Solaris zmieści w sumie 120 pasażerów, w tym 40 na miejscach siedzących

Usterkę lub interwencję zgłosisz w 5 minut

Joanna Jastrzębska
Lublin

Rdzewiejące wraki samochodów, dziury w drodze, zniszczona zieleń - to wszystko można zgłosić do ratusza za pomocą aplikacji Zgłoś To.

System działa od 2021 r. Zastąpił wcześniejszą aplikację Naprawy To. Ze statystyk wynika, że mieszkańcy Lublina zgłosili ponad 4630 alertów. Pierwszy dotyczył niedziałają-

cej latarni na ul. Pockiej na Dzieśiątej. Zgłaszać można każde niedociągnięcie, które budzi naszą złość albo wręcz utrudnia codzienne funkcjonowanie. Co jednak istotne - aplikacja nie służy do informowaniu o incydentach związanych z zagrożeniem zdrowia i życia.

W ostatnim czasie ktoś ze Sławinka zgłosił zapadnięty kawałek ul. Jasińskiego. Ktoś z Zemborzy ubyłki w asfalcie przy Starym Gaju. Osoba ze Śródmieścia zauważyła uszkodzone brzegi wysepki

na skrzyżowaniu Okopowej i Orlej i połamane ruszające się płyty chodnikowe między Krakowskim Przedmieściem a Zieloną - wszystkie zostały oznaczone jako zrealizowane tak samo jak prawie 3,1 tys. innych alertów.

Zanim zgłoszenie zostanie przyjęte do realizacji, musi zostać zweryfikowane. Nie każde przeszły przez to sito. Ktoś zwracał uwagę na hałasowanie silników na Sławinku i w Śródmieściu. Sprawę przekierowano do Straży Miejskiej. Nie-

które zgłoszenia po weryfikacji okazały się niezasadne, jak np. niedziałająca strzałka kierunkowa w sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu Al. Kraśnickiej i ul. Roztocze.

Jak zgłosić usterkę

Żeby zgłosić usterkę, trzeba wejść na stronę zglosto.lublin.eu. Następnie czeka nas skategoryzowanie problemu, wskazanie lokalizacji, ewentualne dodanie zdjęć i opis problemu. Należy również podać kontaktowy adres mailowy.

REKLAMA

0011483012

ALUPROF
SUN SHADING SOLUTIONS

AMBASADOR
Szymon Marciniak

Mistrzowska promocja
Pergola tarasowa
z oświetleniem LED
GRATIS*

* Regularna wartość zestawu oświetlenia LED wynosi 3 559 zł. Dotyczy pergoli SB 400, SB 450, SB 550

KRÓTKO

LUBELSKIE

Kolejny odcinek S19 do budowy



Wojewoda lubelski wydał w środę zezwolenie na realizację inwestycji drogowej (tzw. zrid) między Lubartowem a Kockiem. A to oznacza, że mogą wreszcie ruszyć prace budowlane. Odcinek z Kocka do Lubartowa czekał na tę decyzję 20 miesięcy. Budowa tego prawie 16-kilometrowego fragmentu przyszłej ekspresówki S19 może pochłonąć prawie 400 mln zł. JAXA

POWIAT TOMASZOWSKI

Zwłoki w rowie melioracyjnym

Ciało 62-latkę z gminy Tyśzowce zostało znalezione w rowie melioracyjnym. - Ze zgłoszenia wynikało, że leży on twarzą zwróconą do wody w rowie przy drodze w miejscowości Czermno - przekazała mł. asp. Małgorzata Pawłowska z policji w Tomaszowie Lubelskim.

Mundurowi ustalili tożsamość zmarłego. Czynnici

na miejscu zdarzenia przeprowadzone zostały pod nadzorem prokuratora. Jego decyzją ciało denata zostało zabezpieczone do badań sekcyjnych. - Wstępnie wykluczono udział osób trzecich - dodaje policjantka. - Prowadzone w tej sprawie postępowanie wyjaśni okoliczności tego tragicznego w skutkach zdarzenia. ASZ

Tu wypadek, tam kolizja. Gdzie ich było najwięcej?

Artur Jurkowski
Lublin

Kiedy w Lublinie dochodzi najczęściej do wypadków? Ze statystyk policji wynika, że takim dniem jest środa w godzinach 15-16. Natomiast kolizji w ub. roku było 4 783, czyli średnio ponad 13 dziennie.

- W okresie 2025 roku na terenie miasta Lublin kierujący pojazdami spowodowali 130 wypadków drogowych, w wyniku których śmierć poniosły 4 osoby, a 138 zostały ranne. Ponadto doprowadzili do 25 zdarzeń z udziałem pieszych uczestników ruchu w miejscu wyznaczonego przejścia dla pieszych (o 6 mniej niż w roku 2024) - informuje podinspektor Adam Boczek, komendant miejski policji w Lublinie.

Wczoraj miejscy radni zapoznali się z sprawozdaniem lubelskiej policji za 2025 r. W zestawieniu są m.in. dane dotyczące zdarzeń w ruchu drogowym.

Najczęściej do wypadków dochodziło w maju i październiku, po 15 zdarzeń. Najmniej w lutym i we wrześniu - po 5.

- Największy wzrost zagrożenia wypadkami odnotowano w miesiącu kwietniu, gdzie również w porównaniu do poprzedniego roku wystąpił największy wzrost ilości osób rannych - informuje podinspektor Boczek.

Najbardziej niebezpiecznym dniem dla zmotoryzowanych jest środa: w tym dniu doszło do 29 wypadków. Najbezpiecz-



130 wypadków drogowych i ponad 4 tys. 700 kolizji spowodowali kierowcy w ub. roku

niejsza jest niedziela, kiedy jest najmniejszy ruch, odnotowano wtedy 8 wypadków.

- Niezmiennie od wielu lat największe zagrożenie wypadkami drogowymi w obszarze powiatu grodzkiego notujemy w godzinach szczytów komunikacyjnych. Wraz ze wzrostem natężenia ruchu wzrasta również poziom zagrożenia bezpieczeństwa, którego kumulacja na ulicach miasta w roku 2025 wystąpiła pomiędzy godziną 15 a 18 - dodaje podinspektor Boczek.

Ulice strachu
W 2025 roku wypadki drogowe odnotowano na 73 ulicach miasta:

- Tysiąclecia - 9
- Unii Lubelskiej - 6
- Abramowicka - 5
- Witosa - 4

- Solidarności - 4
- Jana Pawła II - 4
- Kompozytorów Polskich - 4
- Kunickiego - 4
- Zemborzycza - 4

Do śmiertelnych wypadków doszło na Abramowickiej, Filaretów, Dworcowej oraz Lubomelskiej.

Najbardziej niebezpieczne dla pieszych są: ul. Sławinkowska oraz Al. Tysiąclecia. Po dwa razy na tych drogach doszło do wypadku z udziałem pieszego. I to pieszego, który przechodził przez jezdnię na oznakowanym przejściu.

W 2025 r. w Lublinie na policję zgłoszono 4 783 kolizji. W pewnym uproszczeniu kolizja to zdarzenie drogowe, podczas którego nikt nie został ranny ani nie zginął. Najczęściej odnotowywano jej w październiku - 476, najrzadziej w lutym

- 337. Do stłuczek dochodzi najczęściej w piątki - 830, a najmniej w niedzielę - 354. Kolizyjne ulice:

- Tysiąclecia - 183
- Solidarności - 157
- Jana Pawła II - 152
- Kraśnicka - 139
- Witosa - 136
- Spółdzielczości Pracy - 125
- Kunickiego - 115
- Diamentowa - 105
- Droga Męczenników Majdanka - 77
- Unii Lubelskiej - 70

Natomiast najbardziej kolizyjne skrzyżowania to:

- Diamentowa - Wrotkowska - 38
- Tysiąclecia - Lwowska - 32
- Tysiąclecia - Unii Lubelskiej - 32
- Witosa - Krańcowa - 22
- Solidarności - Lubomelska - 20
- Solidarności - Mazowieckiego - 20
- Solidarności - Dolna 3 Maja - 18
- Północna - Kompozytorów Polskich - 18
- Filaretów - Zana - 17
- Mazowieckiego - Solidarności - 15

Dwie pozycje w zestawieniu: Tysiąclecia - Lwowska oraz Tysiąclecia - Unii Lubelskiej to po prostu rondo Dmowskiego (z flagą), gdzie okazuje się doszło łącznie do 64 kolizji. Podobnie jest ze skrzyżowaniami: Solidarności - Mazowieckiego oraz Mazowieckiego - Solidarności, czyli Rondem 100-lecia KUL. Tam zgłoszono łącznie 35 kolizji.

Meblowy gigant wycofuje się z Zamościa. Pracę straci prawie 200 osób

Joanna Jastrzębska
Zamość

Spółka Black Red White nie będzie już kontynuowała produkcji w swoim zakładzie meblarskim w Zamościu. To oznacza koniec zatrudnienia dla 161 osób.

Przemysłowanie w strukturze BRW ma odbywać się w drugim kwartale roku. Będzie to czas stopniowego przenoszenia produkcji do zakładów ulokowanych w Biłgoraju i Mielcu oraz do wybranych kooperantów. Spółka jednak nie wyprowadzi się z Zamościa całkowicie; ma tam pozostać magazyn i działalność logistyczna.

Nie zmienia to faktu, że między końcem kwietnia a końcem czerwca ma zostać rozwiązanych 161 umów z pracownikami. To pokłosie zapowiedzi z listopada 2025 r., że do końca 2026 r. BRW zamierza zwolnić



Spółka twierdzi, że pomimo poprawy sprzedaży detalicznej, sektor meblarski pozostaje pod „silną presją kosztową i popytową”

800 osób. Tłumaczy to działaniami na rzecz przywrócenia stabilności finansowej firmy, której przychody spadły, a straty wzrosły.

Spółka argumentuje, że pomimo poprawy sprzedaży detalicznej w kategorii „meble i wyposażenie wnętrz” w czwartym kwartale 2025 r.

polski sektor meblarski pozostaje pod „silną presją kosztową i popytową”, która jest związana ze wzrostem kosztów energii, paliw, transportu, wynagrodzeń, podatków lokalnych, kosztów utrzymania infrastruktury i spadkiem zamówień na rynkach Europy Zachodniej.

- Proces zmian operacyjnych jest wymagający, ale konieczny dla utrzymania stabilności firmy w długim okresie. Koncentrujemy produkcję tam, gdzie możemy najlepiej wykorzystać nowoczesne technologie i efektywnie zarządzać kosztami. Naszym priorytetem pozostaje bezpieczeństwo całej Grupy, klientów, partnerów i pracowników - skomentował prezes spółki Dariusz Formela.

Black Red White ponad trzy dekady na rynku

Spółka Black Red White z Biłgoraja działa od blisko 35 lat. Założycielem i wieloletnim właścicielem firmy był Tadeusz Chmiel, przez lata zaliczany do grona najbogatszych Polaków.

W styczniu 2025 r. BRW ogłosił zamiar zwolnienia 220 pracowników fabryki w Przeworsku (Podkarpackie). Zakład

zakończył działalność produkcyjną w pierwszym kwartale ub.r.

Ze sprawozdania zarządu z działalności spółki w 2024 r. wynika, że przychody ze sprzedaży ogółem wyniosły blisko 1,2 mld zł, czyli o ponad 11 proc. mniej niż rok wcześniej. Strata netto w latach 2023-2024 wzrosła z 90 mln do 137 mln zł.

Zarząd spółki argumentował w sprawozdaniu, że spadek sprzedaży dotyczył głównie rynku krajowego. Sytuację tłumaczył niepewnością gospodarczą, wysoką inflacją, wysokim poziomem stóp procento-

wych i wzrostem kosztów obsługi zobowiązań finansowych, które - w ocenie zarządu - przełożyły się na decyzje konsumentów o odroczeniu decyzji zakupowych.

Spółka informowała, że w 2024 r. koszty usług obcych zwiększyły się o 6 proc., podatki i opłaty - również o 6 proc., koszty pracownicze zmniejszyły się o 4 proc., a zatrudnienie spadło o ponad 13 proc. Przeciętne zatrudnienie zmniejszyło się z 4013 osób w 2023 r. do 3489 osób w 2024 r.

BRW jest jednym z największych w Polsce producentów i dystrybutorów mebli oraz artykułów wyposażenia wnętrz. Spółka jest jednostką dominującą w grupie kapitałowej, która dysponuje 76 salonami firmowymi, siecią sklepów partnerskich i eksportuje do ponad 40 krajów.

ŹRÓDŁO: PAP

OŚRODEK WSPARCIA DLA OSÓB DOZNAJĄCYCH PRZEMOCY. „STARAMY SIĘ ROZSUPLĄĆ WĘZEŁ PROBLEMÓW”

Bezpieczna przystań w kryzysie

Anna Paszkowska
Lublin

Każdy może tu trafić. Bez skierowania, o każdej porze dnia czy nocy. Specjalistyczny Ośrodek Wsparcia dla Osób Doznających Przemocy Domowej prowadzony przez Caritas Archidiecezji Lubelskiej to miejsce, które daje schronienie, pomoc prawną i psychologiczną oraz - przede wszystkim - poczucie bezpieczeństwa.

Aby wejść do ośrodka przy ulicy Chmielewskiego 9, trzeba zadzwonić domofonem i poczekać na otwarcie - to zabezpieczenie przed ewentualnymi odwiedzinami oprawców. Po wejściu do budynku witają mnie uśmiechnięte mieszkanki, wychowawczynie i siostra Salomea.

Panie wraz z dziećmi robią kwiaty z krepiny, są imponujące. Ma powstać z nich drzewo, które wprowadzi wiosenny klimat. Czuję rodzinną atmosferę, a przede wszystkim bezpieczeństwo.



FOT. ANNA PASZKOWSKA

Ośrodek może jednocześnie przyjąć 25 osób, pobyt może trwać do trzech miesięcy, jednak w praktyce często jest przedłużany

- Do naszego ośrodka może zgłosić się każda osoba, która doświadcza przemocy domowej - podkreśla Wioleta Chwiałkowska, kierownik Specjalistycznego Ośrodka Wsparcia dla Osób Doznających Przemocy Domowej. - Nie jest wymagane skierowanie ani zgoda ośrodka pomocy społecznej. Wystarczy kontakt i rozpoczęta procedura Niebieskiej Karty.

Placówka oferuje całodobowe wsparcie i możliwość natychmiastowego przyjęcia.

Jak zaznacza kierowniczką, zdarzają się sytuacje, gdy osoby trafiają do ośrodka „tak jak stoja”, bez żadnych rzeczy osobistych.

- Wtedy zapewniamy wszystko: ubrania, środki higieny, zaspakajamy podstawowe potrzeby. Jesteśmy na to przygotowani - mówi.

Trzy miesiące, to początek do zmiany

Zgodnie z przepisami pobyt w ośrodku może trwać

do trzech miesięcy, jednak w praktyce często jest przedłużany.

- Każdą sytuację rozpatrujemy indywidualnie. Trzy miesiące to bardzo krótko, by uporządkować życie, zwłaszcza gdy ktoś wychowuje dzieci i zaczyna wszystko od nowa - tłumaczy Wioleta Chwiałkowska.

Ośrodek może jednocześnie przyjąć 25 osób, obecnie nie jest zapelniony. Mieszkańcy mają do dyspozycji części wspólne, co sprzyja budowaniu atmosfery wspólnoty. Mieszkańcy sami przygotowują posiłki z produktów dostarczanych przez placówkę, chodzą do pracy, dzieci uczęszczają do przedszkola lub szkoły.

- Chcemy stworzyć namiastkę domu. Celebруем urodziny, święta, organizujemy zajęcia dla dzieci i dorosłych. Czasem to pierwszy raz w życiu, kiedy ktoś doświadcza takiej normalności - mówi kierowniczką.

Na miejscu dostępna jest kompleksowa pomoc: psycholog, prawnik, pracownik so-

cialny oraz terapeuta. - To nie jest tylko problem przemocy. Często dochodzą sprawy finansowe, prawne, zdrowotne. Staramy się „rozsupląć ten węzeł” problemów - dodaje.

Pomoc także dla mężczyzn

Choć większość osób trafiających do ośrodka stanowią kobiety, pomoc jest dostępna dla wszystkich. - Mielismy również mężczyznę z dzieckiem. Każdy, kto potrzebuje wsparcia, może je u nas znaleźć - podkreśla Wioleta Chwiałkowska.

Do placówki trafiają osoby w różnym wieku, od nastolatki po seniorki. - Są kobiety, które decydują się odejść po 40 latach przemocy. Są też bardzo młode osoby, które uciekają z domu rodzinnego - mówi.

Jednym z największych zwążeń jest fakt, że część osób wraca do sprawców przemocy.

- To bardzo trudne, ale musimy szanować ich decyzje. Najważniejsze jest to, żeby zrobić pierwszy krok. Resztę spróbujemy przejść razem.

Ośrodek monitoruje sytuację osób po opuszczeniu placówki oraz oferuje możliwość kontynuowania terapii przez dziewięć miesięcy. - To był strzał w dziesiątkę. Te osoby nie zostają same po wyjściu z ośrodka - dodaje.

Spokój i doświadczenie innego życia

Placówka jest odpowiednio zabezpieczona, a osoby stosujące przemoc nie mają prawa wstępu.

- Zdarzały się próby pojawienia się sprawców, dlatego wprowadziliśmy dodatkowe środki bezpieczeństwa. Najważniejsze jest poczucie ochrony naszych mieszkańców - podkreśla Wioleta Chwiałkowska.

Jak przyznaje kierowniczką, nie każda historia kończy się „happy endem”. - Ale nawet jeśli ktoś zapamięta, że istnieje miejsce, do którego może wrócić, to już jest sukces. Dajemy przestrzeń, spokój i doświadczenie innego życia - mówi.

Najważniejsze jest to, żeby zrobić pierwszy krok. Resztę spróbujemy przejść razem.

Po urodzeniu porzuciła dziecko w chlewni. Sąd wydał wyrok

Aleksandra Szymczak
Lublin/Uleż

Sąd Okręgowy w Lublinie skazał 32-letnią Aleksandrę K., oskarżoną o zabójstwo nowo narodzonego dziecka. Kluczowe znaczenie dla wymiaru kary miała jej ograniczona poczytalność.

- Okoliczności popełnienia czynu i wina oskarżonej w tej sprawie nie budzą wątpliwości. Sama oskarżona przyznała się do winy - powiedziała sędzia Barbara Markowska cytowana przez PAP podczas jawnej części uzasadnienia wyroku.

Sąd wskazał, że czyn miał „znaczny stopień społecznej szkodliwości” i godził w fundamentalne wartości, jednak został popełniony w warunkach ograniczonej poczytalności. Z tego względu zastosowano nadzwyczajne złagodzenie kary. Została skazana na 6 lat i 10 miesięcy pozbawienia wolności.

W uzasadnieniu wyroku zwrócono również uwagę na sytuację życiową oskarżonej. Jak zaznaczyła sędzia, kobieta cierpi na niepełnosprawność intelektualną i powinna otrzymać odpowiednie wspar-



FOT. ARCHIWUM POLICJI

Aleksandra K. od czasu zatrzymania przebywa w areszcie tymczasowym

cie zarówno przed ciążą, jak i w jej trakcie.

- Okoliczności sprawy wskazują, że brak jest skutecznych rozwiązań instytucjonalnych lub prawnych, które zapewniłyby taką pomoc, albo są one niewystarczające - podkreśliła sędzia Markowska.

Dramatyczne wydarzenia w Uleżu

Do zdarzenia doszło na początku sierpnia 2025 roku. Pogotowie zostało wezwane do kobiety, która krwawiła z dróg rodnych. Ratownicy me-

dyczni ustalili, że 32-latką najprawdopodobniej niedawno rodziła.

Zustaleń śledczych wynika, że kobieta urodziła dziecko poza domem. Gdy noworodek przestał płakać, umieściła go w płóciennym torbie i porzuciła w budynku dawnej chlewni w miejscowości Uleż. Biegli potwierdzili, że chłopiec żył po urodzeniu i oddychał.

Prokuratura Rejonowa w Rykach oskarżyła Aleksandrę K. o zabójstwo dziecka. Według śledczych kobieta nie zapewniła noworodkowi niezbędnej opieki medycznej i pozostawiła go w miejscu, które uniemożliwiało przeżycie. Jednocześnie ustalono, że w chwili popełnienia czynu oskarżona miała znacznie ograniczoną poczytalność, co znalazło potwierdzenie w opiniach biegłych.

Postępowanie przed Sądem Okręgowym w Lublinie rozpoczęło się w lutym 2026 br. i toczyło się z wyłączeniem jawności. Na własne życzenie oskarżona nie uczestniczyła w ogłoszeniu wyroku - nie została doprowadzona z Aresztu Śledczego w Lublinie, gdzie obecnie przebywa.

Wyrok jest nieprawomocny. PAP

Fragment błoni zamkowych został już ogrodzony, zaczyna się remont

Artur Jurkowski
Lublin

Rusza przebudowa błoni pod Zamkiem. Ich oblicze radykalnie się odmieni. Fragment terenu, gdzie rozpoczęcie się pierwszy etap prac został już ogrodzony.

Na błonia wszedł właśnie wykonawca robót. Pojawiły się tam już ogrodzenia. To mocno utrudni życie pieszym, bo przez błonia prowadzi najkrótsza droga między Starym Miastem a położoną przy Al. Unii Lubelskiej galerią Vivo oraz targowiskiem.

- W początkowym etapie robót przejście przez plac będzie zapewnione, ponieważ z użytkowania wyłączone zostaną jedynie wydzielone fragmenty terenu. O kolejnych zmianach w organizacji ruchu w tym miejscu będziemy informować na bieżąco, wraz z rozpoczęciem kolejnych etapów prac - zapowiadał w połowie marca ratusz.

Finał inwestycji przewidziano do końca 2027 r., zaś park ma zostać oddany do użytkowania najpóźniej do 30 sierpnia 2027 r. - W rewitalizowanym parku, zgodnie



FOT. MALGORZATA GENCA

Pierwsze plany dotyczące rewitalizacji zamkowych błoni mówiły o rozpoczęciu robót w 2016 r.

z naszym zobowiązaniem, będziemy realizować ważną część programu Europejskiej Stolicy Kultury 2029, między innymi najbardziej znane festiwale i koncerty - informował Krzysztof Żuk, prezydent Lublina.

Przetarg na roboty wygrała spółka Garden Designers. Za wykonanie prac otrzyma 17,28 mln zł. - Przy projektowaniu tego miejsca postawiliśmy na zieleni - starannie dobraną i zróżnicowaną, która nada przestrzeni niepowtarzalny charakter i będzie atrak-

cyjna przez cały rok. Uzupełnią ją nowa infrastruktura: ścieżki, alejki, oświetlenie i strefy aktywności, dzięki czemu będzie to przestrzeń codziennego relaksu, zabawy dla najmłodszych oraz scena wydarzeń kulturalnych - dodawał prezydent Żuk.

Centralną strefę rekreacji utworzy plac zabaw i aktywności, z wyodrębnionymi strefami dla młodszych i starszych dzieci. Z błoni zniknie pawilon po dawnym sklepie kosiarek i pił spalinowych, który stoi od strony Al. Unii Lubelskiej.

KRAKÓW

Śledztwo ws. badań medycznych

Prokuratura Okręgowa w Krakowie prowadzi śledztwo w sprawie nieprawidłowości podczas prowadzenia badań naukowych w Krakowskim Szpitalu Specjalistycznym im. św. Jana Pawła II.

Rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Krakowie Oliwia Bożek-Michalec poinformowała, że postępowanie zostało wszczęte po zawiadomieniu dyrektora krakowskiego szpitala. Na razie nikomu nie przedstawiono zarzutów. - Z treści przekazanych dokumentów wynika, że je-

den z lekarzy mógł prowadzić na oddziale badania bez wiedzy i zgody pacjentów, w tym pobierać od nich krew celem dalszego wykorzystania, a ponadto fałszować dokumentację medyczną pacjentów oraz podrabiać ich podpisy - przekazała Oliwia Bożek-Michalec.

Prokuratura zabezpieczyła dokumentację projektu badawczego oraz dokumentację medyczną pacjentów mogących brać udział w eksperymencie bez ich zgody.

PAP

OLECKO

Kto odpowie za skażenie wody?

Prokuratura Rejonowa w Olecku (woj. warmińsko-mazurskie) wszczęła dochodzenie w sprawie skażenia wody w miejskim wodociągu oraz narażenia mieszkańców na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Do zdarzenia doszło 17 marca. Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna wy-

kryła w wodzie bakterie z grupy coli. Woda w całym mieście i gminie Olecko nie nadawała się do spożycia - bez wody pitnej pozostawało blisko 20 tys. osób. Według sanepidu od soboty woda z wodociągu Olecko warunkowo nadaje się do spożycia przez ludzi i do celów gospodarczych. Po przygotowaniu może być wykorzystywana do spożycia.

0011501525

Pani

Urszuli Rudnickiej

Zastępcy Prezesa Zarządu – Główniej Księgowej Pracowniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolejarz” w Lublinie

wyraży głębokiego współczucia z powodu śmierci

Brata



składają

Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy PSM „Kolejarz” w Lublinie

0011500570

Pani Ewelinie Jankowskiej

wyraży głębokiego żalu i współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Prezes, Wiceprezes, Sędziowie oraz Pracownicy Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Lublinie

WARSZAWA

Wiceminister zdrowia Tomasz Maciejewski powiedział w Sejmie, że sytuacja finansowa systemu ochrony zdrowia jest bardzo trudna. Przyczyny to m.in. koszt ustawy o minimalnym wynagrodzeniu i niższy niż w poprzednich latach udział składki zdrowotnej w finansowaniu leczenia. - Choć nakłady osiągnęły historycznie wysoki poziom ponad 217 mld zł, to tempo wzrostu kosztów znacznie przewyższa tempo wzrostu z wpływu - zauważył.

”

Aktualnie mamy od czynienia z bardzo trudną sytuacją finansową całego systemu ochrony zdrowia

Tomasz Maciejewski, wiceminister zdrowia

W Chełmie będzie Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej

Marcin Koziestański
Warszawa

- Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej w Chełmie będzie godnym miejscem pamięci, które przywraca imiona ofiar i oddaje sprawiedliwość historii - powiedział wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz.

W czwartek w Cytadeli Warszawskiej wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz oraz prezydent Chełma Jakub Banaszek podpisali list intencyjny w sprawie utworzenia Muzeum Pamięci Ofiar Rzezi Wołyńskiej. W uroczystości uczestniczył podsekretarz stanu w MON Stanisław Wziątek.

Nowa instytucja powstanie w Chełmie jako oddział Muzeum Wojska Polskiego. Inicjatywa jest efektem współpracy resortu obrony z samorządem Chełma. Placówka o charakterze ogólnopolskim ma stać się nowoczesnym centrum edukacyjnym i badawczym dokumentującym tragiczne losy Polaków na Kresach oraz wysiłek żołnierzy Wojska Polskiego w obronie ludności cywilnej.

- To jest niezwykle ważny moment dla wszystkich, dla których polityka pamięci, polityka historyczna, pamięć i tożsamość stanowią fundament, sprawę wręcz świętą. Jesteśmy dziś świadkami i uczestnikami uroczystości, która nie tylko ozna-



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz i prezydent Chełma Jakub Banaszek podpisali list intencyjny

cza nową inwestycją, ale przede wszystkim daje po raz pierwszy w historii Polski szansę na godne upamiętnienie tych, którzy w okrutny sposób stracili życie. W krwawą niedzielę na Wołyniu, a także w kolejnych dniach, w bestialski sposób zamordowano setki tysięcy naszych rodaków. W trakcie II wojny światowej doświadczyli oni zbrodni ze strony ukraińskich nacjonalistów. To jest pamięć o naszych

dziadkach, o naszych przodkach, to jest nasza tożsamość - podkreślił wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz podczas uroczystości w Muzeum Wojska Polskiego.

„Ta inwestycja da nam poczucie prawdy i sprawiedliwości”

Dzięki włączeniu w strukturę Muzeum Wojska Polskiego nowa jednostka zyska dostęp

do unikatowych zasobów archiwalnych oraz wsparcia merytorycznego czołowych ekspertów. Inwestycja ma na celu nie tylko godne upamiętnienie ofiar, ale także zachowanie prawdy historycznej i integrację środowisk kombatanckich oraz rodzin ofiar.

- Naród bez pamięci traci swoją tożsamość i umiera. Dlatego powinniśmy pamiętać. Powinniśmy pamiętać o ważnych chwilach w życiu narodu, nawet wtedy, kiedy są to chwile przepełnione bólem i tragedią ludzką. Dla poszanowania istnienia Polaków, którzy oddali swoje życie na Wołyniu. Dla pamięci historycznej i pamięci współczesnej musimy przeprowadzić inwestycję, która da nam poczucie prawdy i sprawiedliwości. I właśnie po to, dla prawdy, chcemy, żeby ta inwestycja powstała jak najszybciej - zaznaczył podczas uroczystości wiceminister obrony narodowej Stanisław Wziątek.

Podpisanie listu intencyjnego formalnie rozpoczyna proces projektowy i organizacyjny nowego muzeum.

Tymczasem naukowcy z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie rozpoczęli poszukiwania ofiar zbrodni wołyńskiej w miejscowości Ugly. To kolejny etap badań, których celem jest odnalezienie miejsc pochówku i przywrócenie pamięci ofiarom II wojny światowej.

PAP

Parlament Europejski zdecydował o uchyleniu immunitetu europosłowi Grzegorzowi Braunowi

Marcin Koziestański
Bruksela

Parlament Europejski uchylił immunitet europosłowi Grzegorzowi Braunowi. Decyzja dotyczy dwóch spraw: zniszczenia flag Ukrainy i UE oraz zaprzeczenie istnieniu Holokaustu.

Czwartkowe głosowanie rozpoczęło się po godz. 11. Europosłowie poparli dwa wnioski o uchylenie immunitetu politykowi

Konfederacji Korony Polskiej. To efekt wniosków polskiej prokuratury, które dotyczą zniszczenia flag Ukrainy, UE oraz środowisk LGBT+ w Sejmie i zaprzeczenia Holokaustu.

Wcześniej, bo we wtorek, komisja prawna Parlamentu Europejskiego (JURI) również zagłosowała „za” - wszyscy obecni eurodeputowani (19 osób) poparli odebranie Braunowi immunitetu. Europoseł Nowej Lewicy Krzysztof Śmiszek podkreślił wówczas, że „w PE nie ma miej-

sca na antysemityzm, rasizm, homofobię. Tu nikt nie staje po stronie ekstremizmów”.

Zwyczajowo głosowanie nad odebraniem immunitetu odbywa się na najbliższym posiedzeniu plenarnym PE po decyzjach komisji JURI. Tym razem minisjesja plenarna odbywała się w Brukseli w środę i czwartek; wszystkie głosowania, w tym dotyczące immunitetów, przeprowadzono w czwartek.

Było to już czwarte głosowanie PE w sprawie odebrania im-

munitetu Braunowi. Wcześniej europarlament głosował za uchyleniem mu immunitetu dwukrotnie: za zniszczenie świec chanukowych w Sejmie i naruszenie nietykalności cielesnej ginekolożki w Oleśnicy.

- Braun jest niewątpliwie liderem, jeśli chodzi o wnioski o zgodę PE na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej, a także niewątpliwie postacią rozpoznawalną w Brukseli - skomentował europoseł EPL Michał Wawrykiewicz. PAP



kulturalna

RESTAURACJA



Zapraszamy WSZYSTKICH mieszkańców Lublina!

- wyśmienita kuchnia polska
- dania lokalne i sezonowe
- miejsce przyjazne rodzinie
- Lubelskie Miejsce Inspiracji
- przyjęcia okolicznościowe
- eventy firmowe



ul. Zamojska 30, Lublin
tel. +48 81 740 01 74
www.archehotellublin.pl



Gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy w zamian za oddanie Donbasu Rosji

Grzegorz Kuczyński
Kijów

Stany Zjednoczone postawiły warunek, zgodnie z którym Ukraina musi wycofać swoje wojska z Donbasu, aby uzyskać gwarancje bezpieczeństwa. Ujawnił to prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w wywiadzie dla agencji Reuters.

Według Zełenskiego wycofanie wojsk zagrozi bezpieczeństwu zarówno Ukrainy, jak i Europy, ponieważ doprowadzi to do przekazania Rosji dobrze ufortyfikowanych pozycji obronnych w regionie. Prezydent Ukrainy



Donbas to najbardziej zrujnowany przez wojnę region Ukrainy. Stał się głównym celem rosyjskiej agresji

zauważył również, że Stany Zjednoczone skupiają się obecnie na konflikcie z Iranem.

– Bliski Wschód bez wątpienia ma wpływ na prezydenta Trumpa i myślę, że również na jego dalsze działania. Niestety, moim zdaniem prezydent Trump nadal wybiera strategię zwiększania presji na stronę ukraińską – powiedział Zełenski.

W styczniu prezydent Ukrainy oświadczył, że stanowisko Kijowa w sprawie terytoriów nie uległo zmianie, a kompromisy muszą być wzajemne. Dodał również, że dwustronne gwarancje bezpieczeństwa ze Stanami Zjednoczonymi są gotowe „w 100 procentach”, a Kijów oczekuje na ich podpisanie.

O tym, że USA mogą postawić warunek oddania Rosji kontrolowanej przez Ukrainę reszty Donbasu (około 20 procent terytorium regionu), pisał wcześniej „Financial Times”. Według rozmówców gazety w przypadku wycofania ukraińskich wojsk Waszyngton jest wstępnie gotowy zwiększyć dostawy broni dla Sił Zbrojnych Ukrainy w czasie pokoju.

Iran odrzuca żądania USA i sam stawia warunki

Grzegorz Kuczyński
Teheran

Iran odrzucił amerykańską propozycję zakończenia wojny - poinformowały irańskie państwowe media, co może stanowić poważny cios dla wysiłków administracji Trumpa zmierzających do zawarcia porozumienia.

Szef irańskiej dyplomacji Abbas Aragczy ogłosił, że jego państwo zamierza dalej walczyć z USA i Izraelem. W wywiadzie dla państwowej telewizji zaprzeczył, by trwały rokowania pokojowe z USA, i zaznaczył, że takie negocjacje byłyby przyznaniem się do porażki.

Iran stawia warunki zakończenia wojny

W mediach społecznościowych irański konsul generalny w Bombaju przedstawił pięć warunków zawieszenia broni, z których większość administracja Trumpa uważa za nie do przyjęcia. Iran domaga się, jak podano:



Szef irańskiej dyplomacji Abbas Aragczy ogłosił, że jego państwo zamierza nadal walczyć z USA i Izraelem. Zaprzeczył, by trwały rokowania pokojowe z USA

- „zaprzestania agresji i aktów zabójstw ze strony wroga”;
- „stworzenia obiektywnych warunków gwarantujących, że wojna się nie powtórzy”;
- „zapewnienia i jasnego określenia wypłaty odszkodowań i reparacji wojennych”;
- by „zakończenie wojny zostało wdrożone na wszystkich frontach i dla wszystkich grup

oporu zaangażowanych w ten konflikt”;

• „sprawowanie przez Iran władzy nad Cieśniną Ormuz jest jego naturalnym i prawnym prawem, a gwarancje realizacji zobowiązań drugiej strony muszą zostać uznane”.

Konsulat poinformował, że Iran przekazał wszystkim mediatorom, „iż zawieszenie broni nastąpi dopiero po zaakceptowaniu jego warunków. Do tego czasu nie będą prowadzone żadne negocjacje”.

Czego USA żądają od Iranu

Wiele mediów poinformowało we wtorek, że Stany Zjednoczone przekazały Iranowi za pośrednictwem Pakistanu 15-punktową propozycję zakończenia wojny. Izraelski Channel 12 poinformował, że plan zakłada likwidację istniejących zdolności jądrowych Iranu, zaprzestanie wszelkiego wzbogacania uranu na terytorium Iranu oraz przekazanie przez Iran zapasów wzbogaconego uranu Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

Plan podobno zakłada również likwidację obiektów jądrowych w Natanz, Isfahanie i Fordow oraz ograniczenie przez Iran użycia rakiet wyłączone do samoobrony. Plan nakazuje, aby Cieśnina Ormuz pozostała otwarta, aby irański program raketowy został ograniczony zarówno pod względem zasięgu, jak i ilości, oraz aby Iran zaprzestał wspierania wszystkich grup terrorystycznych.

Rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt powiedziała w środę, że doniesienia o 15-punktowym planie są tylko częściowo prawdziwe. Podkreśliła jednak, że jeżeli Iran nie zaakceptuje „realiów obecnej sytuacji, jeśli nie zrozumie, że został pokonany militarnie, prezydent Trump dopilnuje, aby został uderzony mocniej niż kiedykolwiek wcześniej”. Wiadomość ta pojawiła się w momencie, gdy Stany Zjednoczone przygotowują się do wysłania dodatkowych 3000 żołnierzy do regionu, podczas gdy administracja rozważa operacje lądowe przeciwko Iranowi.

Bratki za odpadki – wiosna przyszła z prezentami

Katarzyna Wicińska
redakcja@kurierlubelski.pl

Powitaliśmy wiosnę w barwnym stylu. W galerii VIVO! Lublin mieszkańcy Lublina mogli wymienić zabiegające, niepotrzebne odpady na kolorowe bratki.

Początek wiosny to idealny pretekst do tego, aby zadbać o swoją przestrzeń - w końcu określenie „wiosenne porządki” nie wzięło się znikąd. A co w sytuacji, gdy niepotrzebne śmieci możemy wymienić na coś, co cieszy oko? Taką możliwość mieli uczestnicy naszej akcji Kwiatki Bratki za Odpadki. Bo przecież wiosna to najlepszy moment na wprowadzenie do życia nowych barw.

- Akcja spadła mi z nieba, miałam już w domu trochę



Do Galerii VIVO! Lublin, partnera naszej akcji, przyszło naprawde dużo osób. Co bardzo cieszy!

niepotrzebnego sprzętu, ale jakoś nigdy mi nie było po drodze, żeby go oddać do właściwego punktu. A dziś akurat wybierałam się na zakupy, więc udało mi się

połączyć przyjemne z pożytecznym - mówi Pani Alina, uczestniczka akcji, która przyniosła toster oraz reklamówkę z drobną elektroniką.



Mieszkańcy Lublina oddali zabiegające elektrośmieci za wiosenne sadzonki

Wymiana elektrośmieci na rośliny jest ważna również ze względów ekologicznych. Oddanie odpadów do odpowiedniego punktu umożliwia ich recykling, co z kolei pozo-

staje nie bez znaczenia dla naszej planety.

Szansa na drzewko

Cieszymy się, że razem mogliśmy przysłużyć się środowisku.

A tych, których akcja ominęła, zapraszamy już 11 kwietnia w godzinach 10-13 na parking pod sklepem Stokrotka (ul. Nałkowskich 230, Lublin) na wiosenną edycję Drzewka za Surowce Wtórne. ©

REKLAMA

Q604903606A

ORGANIZATOR

KURIER
LUBELSKI.PLPARTNER
LOKALIZACYJNY

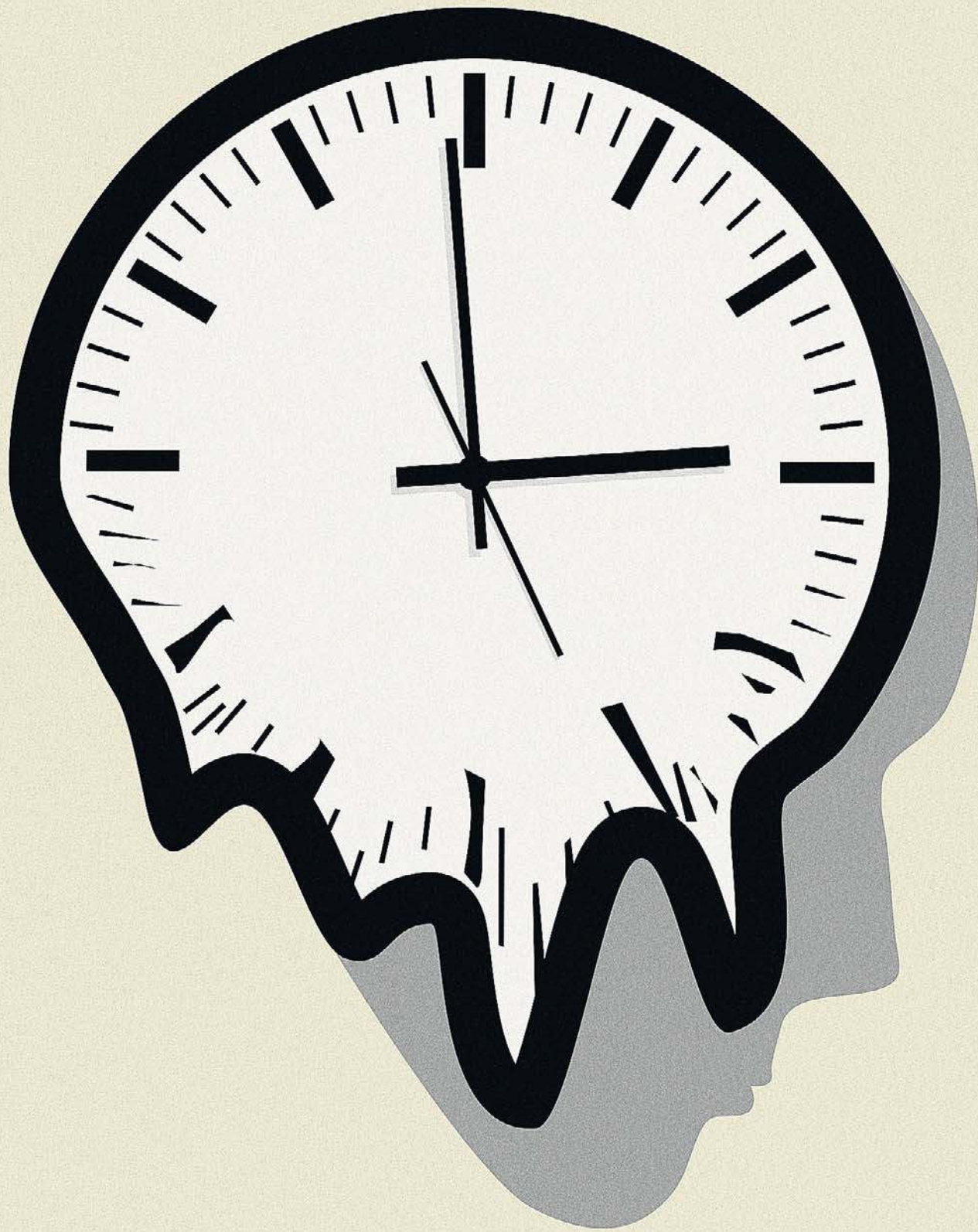
LUBLIN

PARTNERZY

ECO HARPOON
Recycling Sp. z o.o.

PULS

#209



Człowiek z czasem się liczy
Str. 10

Zmiana czasu co pół roku przypomina nam, że każdy z nas nosi w sobie własny zegar. - To od mózgu zależy, czy dzień będzie się dłużył w nieskończoność, czy przeminie, nie pozostawiając po sobie wspomnienia – mówi neurobiolog prof. Wojciech Glac

Anita Czupryn

JAK OSZUKUJE NAS CZAS. NEUROBIOLOG PROF. WOJCIECH GLAC: IM MNIEJ NOWOŚCI, TYM SZYBCIEJ MIJA ŻYCIE

W nocy z soboty na niedzielę, z 28 na 29 marca, przesuwamy zegarki z godziny 2 na 3 i tym samym kradniemy sobie godzinę snu. Co to znaczy dla mózgu?

Jednorazowe skrócenie snu o godzinę samo w sobie nie jest czymś, co znacząco zaburza pracę mózgu. Większe znaczenie ma to, że zmiana czasu wymusza przesunięcie całego rytmu okołodobowego. Każdemu zdarza się zarwać noc czy wstać wcześniej, ale tutaj organizm musi przestawić swój biologiczny zegar: porę zasypiania, budzenia się i funkcjonowania w ciągu dnia. Zegar biologiczny i społeczny nieco się rozmiągają i to właśnie jest dla mózgu wyzwaniem, zwłaszcza - tak jak teraz - kiedy przechodzimy na czas letni.

Po zmianie czasu na letni możemy sobie: od dziś żyje godzinę wcześniej. Ale czy organizm też to rozumie? Po jakim czasie się przystosujemy? W teorii, jeśli wstawimy godzinę wcześniej, to także wcześniej pojawia się presja snu, czyli naturalne zmęczenie wynikające z aktywności podczas dnia. W praktyce jednak poza tą presją snu, czyli mechanizmem homeostaticznym, nasze zasypianie reguluje rytm okołodobowy, który poza ilością światła regulowany jest też przez nasze nawyki. Czas przystosowania jest więc różny – od kilku dni do kilkudziesięciu. Przystosowanie to jest łatwiejsze, jeżeli jesteśmy rannymi ptaszkami, a trudniejsze u osób o późnym chronotypie, czyli u tzw. sów.

Każdy z nas nosi w sobie własny zegar, który nie zawsze zgadza się z tym na ścianie?

Tak, ale ten wewnętrzny zegar nie działa w oderwaniu od świata. Przede wszystkim synchronizuje go światło słoneczne – wschód i zachód słońca są dla mózgu podstawowym sygnałem wyznaczającym rytm dnia. Mniejsze, ale istotne znaczenie mają też nasze nawyki, pory stałych aktywności, jak jedzenie, szkoła czy praca. Jeśli wieczorem powtarzamy określone rytuały, mózg zaczyna je traktować jako część stałego planu dnia. To może wspierać zasypianie, ale też może je opóźniać. Zegar biologiczny jest więc z jednej strony ustawiany przez światło, a z drugiej bardzo podatny na styl życia, przyzwyczajenia i narastające w ciągu dnia zmęczenie.

Światło rano działa trochę jak kawa?

Natężenie światła rejestrowane jest przez specjalne komórki światłoczułe w siatkówce oka, których głównym zadaniem jest synchronizacja rytmu okołodobowego i regulacja aktywności mózgu. Przekazują one informacje do podwzgórza, gdzie znajduje się główny biologiczny zegar mózgu. Dzięki temu światło wpływa na moment wybudzenia, zasypiania, a pośrednio także na fizjologię całego organizmu. Rano ma to szczególne znaczenie. Natężenie światła pobudza układy odpowiedzialne za czuwanie, uwagę i gotowość do działania. Badania pokazują, że kontakt ze światłem dziennym zaraz po przebudzeniu pomaga szybciej osiągnąć optymalny poziom pobudzenia potrzebny do codziennej aktywności, zwłaszcza intelektualnej. Dlatego poranny spacer naprawdę działa korzystnie. Nawet przy zachmurzonym niebie

światło dzienne jest znacznie silniejsze niż oświetlenie w mieszkaniu czy biurze, więc warto rano wyjść choć na chwilę na zewnątrz. Kawa natomiast osłabia działanie adenozy, która jest kluczowa dla wspomnianego wcześniej mechanizmu presji snu.

Odpowiedział pan na pytanie, które właśnie chciałam zadać: gdzie właściwie mieści się nasze poczucie czasu? W mózgu? W hormonach? Jak odczuwamy rytm dnia?

W mózgu, ale nie ma tam jednego zegara, który mierzy czas. To zależy od tego, o jakim rodzaju czasu mówimy. Inaczej mózg reguluje rytm dnia i nocy, inaczej szacuje sekundy czy minuty potrzebne do działania, a jeszcze inaczej tworzy subiektywne wrażenie, że życie przyspiesza albo zwalnia. Podwzgórze odpowiada za rytm okołodobowy i sezonowe zmiany zachowań, np. związane z rozrodem czy migracjami u zwierząt. Z kolei odczuwanie następstwa zdarzeń, pamiętanie, co było wcześniej, a co później, wiąże się z hipokampem. To on pomaga porządkować doświadczenia w czasie. Inny mechanizm odpowiada za mierzenie krótkich odstępów czasu - ile trzeba poczekać na efekt działania albo kiedy wykonać kolejny ruch. Tu ważną rolę odgrywa prądkowie, które wraz z korą mózgową pozwalają wyznaczyć

interwały między zdarzeniami. Jest jeszcze czas subiektywny, czyli nasze osobiste wrażenie, że coś się dłuży albo mija błyskawicznie. Ten mechanizm jest bardziej rozproszony. Zależy od emocji, uwagi i od tego, jak bardzo świadomie śledzimy własne odczucia i wpływ czasu. W dodatku czym innym jest ocena czasu w trakcie przeżywania sytuacji, a czym innym późniejsze wrażenie jej długości odtwarzane z pamięci.

Wróćmy jeszcze do światła. Żyjemy przecież nie tylko w rytmie słońca, ale też wśród lamp, ekranów, telefonów, komputerów. Dużo mówi się o tym, że niebieskie światło zaburza sen. Faktycznie powinniśmy odkładać telefon przed snem?

Tak, bo światło emitowane przez ekrany, zwłaszcza o dużym natężeniu, może działać na mózg podobnie jak światło dzienne. Jeśli przed snem długo patrzymy w telefon czy komputer, podwzgórze dostaje sygnał, że wciąż trwa dzień i trzeba utrzymać aktywność. Poza światłem ważne są jednak emocje i uwaga. Jeżeli ktoś ogląda coś emocjonującego, robi w telefonie coś angażującego, to może to opóźnić moment zasypiania, bo podtrzymuje pracę układów odpowiedzialnych za czuwanie. Oczywiście presja snu, wynikająca ze zmęczenia, w końcu zrobi

swoje i zaśniemy. Problem w tym, że sam moment zaśnięcia może się przesunąć, a dodatkowo pogarszać jego jakość i łączną długość. A zaburzenia snu prowadzić mogą do gorszego funkcjonowania poznawczego czy emocjonalnego. Dlatego odkładanie telefonu przed snem naprawdę ma sens.

Kto gorzej znosi zmianę czasu: dzieci, seniorzy, nastolatki, a może osoby pracujące na zmiany?

Praca zmianowa sama w sobie bardzo silnie obciąża rytm dobowy, bo wymaga jego ciągłego przestawiania. Natomiast jeśli chodzi o samą zmianę czasu, reagujemy na nią bardzo różnie. Decyduje o tym wiele czynników: indywidualna potrzeba snu, zdolność adaptacji, codzienne nawyki, intensywność dnia, a nawet wrażliwość na światło. Często mówi się o ośmiu godzinach snu, ale to tylko średnia. Dla jednych optymalne będzie siedem godzin, dla innych dziewięć. To bardzo indywidualna rzecz, ale badania pokazują, że statystycznie zmiana czasu jest bardziej dotkliwa dla osób zasypiających później i budzących się później, nastolatków oraz wszystkich tych, którzy mają rozregulowany rytm okołodobowy, nie tylko pracujących zmianowo, ale również tych, którzy śpią nieregularnie.

Czas nie płynie dla nas równo i to także zależy od wieku. Jako dzieci nie mogliśmy doczekać się gwiazdki czy urodzin, dzień się dłużył. Z wiekiem coraz częściej mamy poczucie, że czas przyspiesza. Dlaczego tak się dzieje? Mózg niejako kompresuje rutynę dorosłego życia i dlatego lata tak łatwo nam znikają?

W dużej mierze tak właśnie jest. Pamięć działa według dość prostej zasady: mózg przede wszystkim zapisuje to, co nowe, zaskakujące i odstaje od codziennego schematu. W dzieciństwie takich doświadczeń jest bardzo dużo, bo niemal wszystko odkrywamy po raz pierwszy. Świat nas wciąż zaskakuje. Ponieważ mamy jeszcze niewiele doświadczeń, trudniej nam przewidzieć, co się wydarzy. Dlatego okres dzieciństwa jest gęsto wypełniony wspomnieniami. Kiedy jako dorośli patrzymy wstecz, mamy wrażenie, że dzieciństwo trwało długo, bo zachowało się z niego mnóstwo szczegółów. To trochę tak, jakby album z tamtych lat był pełen zdjęć, podczas gdy z dorosłości tych zdjęć jest znacznie mniej. Wpadamy w rutynę, życie przestaje nas zaskakiwać, a mózg korzysta z już stworzonego modelu świata. Jeśli rzeczywistość zgadza się z tym modelem, nie ma potrzeby zapisywania nowych śladów pamięciowych. Kolejne dni zlewają się więc w całość. Dopiero kiedy wydarzy się coś nieoczekiwane, coś wyłamie się z reguły, mózg to rejestruje, bo musi zaktualizować swój obraz świata. Taki dzień dostaje własny znacznik w pamięci i staje się odrębnym wspomnieniem. Im bardziej powtarzalne są nasze dni, tym bardziej subiektywnie czas przyspiesza, bo w pamięci zostaje po nich mniej śladów. Tak można wyjaśnić, jak oceniamy wpływ czasu retrospektywnie.

Spotkałam się też, że starsze osoby mówią czasem, że czas bardzo im się dłuży, że od emerytury nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Czy starość naprawdę boli czasem także

PAMIĘĆ DZIAŁA WEDŁUG DOŚĆ PROSTEJ ZASADY: MÓZG PRZED W SZYBKIM ZAPISUJE TO, CO NOWE, ZASKAKUJĄCE I ODSTAJE OD CODZIENNEGO SCHEMATU



FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Prof. Glac: Czym innym jest ocena czasu w trakcie przeżywania sytuacji, a czym innym późniejsze wrażenie jej długości odtwarzane z pamięci

w tym sensie, że czas płynie wolniej?

Kiedy czegoś nam brakuje i na to czekamy, możemy wyraźniej odczuwać upływ czasu. Mózg pozostaje wtedy w stanie czujności, gotowy na jakieś ważne, oczekiwane zdarzenie lub sygnał zwiastujący jego nadejście. Jeśli ktoś siedzi w domu, nie ma konkretnego zajęcia, ale czeka, aż wydarzy się coś ciekawego - ktoś zadzwoni, przyjdzie do niego, jego uwaga łatwiej kieruje się właśnie na upływ czasu. Im bardziej się nudzimy i im mniej jesteśmy pochłonięci jakąś czynnością, tym silniej monitorujemy upływ czasu. Dlatego czas może się wydłużyć osobom, które nie mają planu dnia, konkretnego celu albo angażującego zajęcia. Nawet jeśli nie czekają na nic bardzo konkretnego, mogą pozostawać w stanie oczekiwania na coś, co przerwie monotonię. Wówczas łatwiej może powstać wrażenie, że czas się rozleka.

Czyli mózg potrzebuje tego, kiedy dzień ma plan, punkt odniesienia, jakieś umówione spotkanie?

Plan dnia jest ważny nie tylko dlatego, że dyscyplinuje i porządkuje kolejne zadania i działania, ale również dlatego, że pozwala na bardziej precyzyjne przewidywanie tego, w którym momencie powinien oczekiwać satysfakcji, przyjemności czy nagrody. Brak

tego planowania i przewidywania, zwłaszcza u osób, które są w silnej potrzebie czy mają ogólnie problem z tzw. odraczaniem nagrody, może powodować nadmiernie skupienie uwagi na oczekiwaniu tej korzyści, powstawanie silnej presji i poczucie ryzyka, że nagroda przeleci im koło nosa. Z tego powodu mogą one zbyt intensywnie monitorować chwilę bieżącą, zmiany w otoczeniu i w ciele i przez to nadmiernie skupiać się na upływie czasu.

Dziś wszyscy powtarzamy: „Nie mam czasu”. A przecież żyjemy w epoce, w której maszyny i aplikacje robią za nas mnóstwo rzeczy. Dlaczego więc wciąż mamy poczucie, że czasu brakuje? Żyjemy szybciej, czy to wina bodźców, które rozbijają naszą uwagę?

Na pewno możemy doświadczać przeciążenia nadmiarem nadmiernie emocjonujących zdarzeń, co może prowadzić do osłabienia naszych zdolności poznawczych, a przez to zdolności do planowania, przewidywania oraz efektywnej kontroli uwagi. To wywołuje stres, zwiększa presję, a w presji chcemy szybko osiągnąć efekt, niedoszacowując czasu, jaki potrzebujemy na jego osiągnięcie. To powoduje, że wszystko wydaje się zajmować więcej czasu, niż pierwotnie przewidywaliśmy, pozostawiając poczucie, że nie nadążamy

i nie mamy na nic czasu. Ten nadmiar emocji i istotnych spraw wpływa też na funkcjonowanie naszego wewnętrznego zegara. Jego wskazówki tykają wówczas niejako szybciej niż tego zegara na ścianie. To nam spowalnia subiektywny upływ czasu w tej konkretnej chwili, ale kiedy spojrzymy w końcu na zegar, nie możemy się nadziwić jak dużo to nam w rzeczywistości zajęło czasu. Ten swoisty rozdźwięk może pozostawić w pamięci przekonanie, że wszystko zajmuje więcej czasu niż go mamy i w ten sposób wzmacnia ryzyko, że nie zdążymy ze wszystkim na czas. Poczucie ryzyka wyzwała emocje i stres, i błędne koło się zamyka.

Można powiedzieć, że mózg mierzy czas emocjami?

W pewnym sensie tak, bo emocje bardzo silnie wpływają na nasze subiektywne odczucie czasu. Im bardziej jakieś zdarzenie jest dla nas ważne i im silniejsze wywołuje pobudzenie, tym wyraźniej zmienia się sposób, w jaki przeżywamy jego upływ. Nie chodzi o to, że mózg dosłownie ma jeden zegar odmierzający sekundy jak stoper, ale o to, że pod wpływem emocji, uwagi i pobudzenia inaczej przetwarzamy to, co dzieje się wokół nas i w nas samych. Kiedy dzieje się coś bardzo ważnego, np. budzącego silny lęk, silniej skupiamy uwagę, rejestrujemy więcej

zmian, więcej szczegółów, więcej sygnałów płynących z otoczenia i z własnego ciała. W takiej chwili czas może subiektywnie zwalniać - mamy wrażenie, jakby dana sekunda trwała dłużej niż zwykle. W skrajnych sytuacjach może się wręcz wydawać, że czas na moment stanął w miejscu. Po takim zdarzeniu często odnosimy też wrażenie, że trwało ono dłużej, niż wskazywałyby zegarek, bo świeży ślad pamięciowy jest bardzo gęsty, bogaty w szczegóły i mocno nasycony emocjami. A kiedy wracamy do tego jeszcze później, z perspektywy czasu, ta chwila nadal może wydawać się długa, bo pamięć zachowała z niej wyjątkowo dużo elementów. Z kolei, kiedy przeżywamy coś przyjemnego, wciągającego i dającego satysfakcję, bywa odwrotnie - gdy ta chwila się kończy, pojawia się wrażenie, że minęła za szybko, że była zbyt krótka. Wpływa na to wygasające po zakończeniu tego zdarzenia poczucie przyjemności. Tak więc emocje nie tyle mierzą czas, ile bardzo silnie modulują to, jak go odczuwamy - zarówno w trakcie zdarzenia, tuż po nim, jak i wtedy, gdy wracamy do niego we wspomnieniu.

Najczęściej brakuje nam czasu na to, co najważniejsze: na spotkania z ludźmi, których kochamy, na rozmowę, bliskość, relaks, odpoczynek.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego tego nie wybieramy, tylko mówimy: nie mam czasu, mam tyle do zrobienia?

To zależy od tego, jak mózg ustawia priorytety, czyli jaką nadaje wagę poszczególnym zadaniom czy potrzebom. To bardzo indywidualna sprawa, ale ogólnie zależy od wielkości tej potrzeby, wielkości potencjalnej korzyści lub straty, kosztów, czasu oczekiwania na efekt, od wielu różnych czynników i cech danej osoby. Może więc zdarzyć się tak, że tym, co wygrywa, będzie praca, deadline, projekty i spotkania zawodowe, a tym co przegrywa, będą relacje towarzyskie i rodzinne czy spacer, relaks i odpoczynek. Zwykle więc robimy to, co pilne i grozi stratą, odkładając na potem to, co może zająć i nie wydaje nam się absolutnie konieczne. Ale też są wśród nas osoby, które zamiast zajmować się rzeczami ważnymi, są w stanie rzucić wszystko i spędzić pół dnia ze wzrokiem wlepionym w ekran telefonu, który oferuje dużą, natychmiastową, pewną i bezwysiłkową nagrodę. Nie chodzi o to, że nie cenimy odpoczynku czy relacji, lecz o to, że cele pilne i obciążone potencjalnymi negatywnymi konsekwencjami lub cele pozwalające na osiągnięcie natychmiastowej i znacznie wyższej satysfakcji aktywują system motywacyjny i decyzyjny silniej niż ko-

rzyści naturalne, które oferują mniejszą i nie tak natychmiastową nagrodę. Mniejszą oczywiście nie oznacza, że mniej ważną, ale w dobie ciągłego zmagania się z obniżeniem nastroju i stresem, ludzie mają tendencję do poszukiwania ulgi w czymś, co daje szybkie i spektakularne efekty.

Są jakieś proste praktyki, które pomagają odzyskać poczucie czasu? Rytuały, formy regularności, ćwiczenia uważności, które mogą nam pomóc?

Na pewno pomocne jest bardziej świadome przeżywanie tego, co dzieje się wokół nas. Jeśli komuś dni przeciekają przez palce, warto próbować mocniej je zauważać. Temu właśnie służą różne praktyki mindfulness polegające na ukierunkowaniu uwagi na bieżącym doświadczeniu - zwracanie uwagi na to, co teraz robię, co widzę, co słyszę, co się wokół mnie dzieje. To ważne, bo właśnie taka świadoma uwaga pozwala tworzyć bardziej wyraźne, unikatowe wspomnienia, by łatwiej uniknąć poczucia, że czas przecieka nam między palcami, a dni lewąją się w jeden. Jak ktoś ma wystarczająco nomen omen czasu, to może prowadzić dziennik, zapisując zdarzenia - łatwiej je wówczas pamiętać, a przeglądając dziennik zauważyć, że rok miał jednak 365 dni, a nie 2 czy 3 - te wyjątkowe - świąteczne czy urlopowe. Pomocne będzie na pewno robienie rzeczy niecodziennych, nawet drobnych, które łamią rutynę. To właśnie nowość, zmiana, odstępstwo od reguły sprawiają, że dane zdarzenie czy dzień ma szansę zapisać się w pamięci trwalej i stworzyć unikatowe wspomnienie. Im więcej takich momentów, tym łatwiej odróżnić od siebie kolejne dni i tym mniejsze będzie wrażenie, że życie przemija nie wiedzieć kiedy.

CV



Prof. Wojciech Glac
Neurobiolog w Pracowni Neurobiologii Katedry Fizjologii Zwierząt i Człowieka Uniwersytetu Gdańskiego. Jego największą pasją jest popularyzacja nauki. Prowadzi wykłady popularnonaukowe i warsztaty z dziedziny neurobiologii i immunologii. Autor wielu książek i publikacji naukowych

Co jest lepsze: ładniejsze, masowe zniekształcenie czy prawda znana regionalnie? To pytanie, które w kontekście serialu „Ołowianych dzieci” Netflixu stawia Stanisław Torbus, wnuk prof. Bożeny Hager-Małeckiej. Mówi też o powodach, dla których jest gotów walczyć z platformą w sądzie.

Rozmawiał Marcin Śliwa

W „OŁOWIANYCH DZIECIACH” ZROBILI Z MOJEJ BABCI SZWARCCHARAKTER



Dla pokoleń lekarzy postać prof. Bożeny Hager-Małeckiej była wzorcem i o jej pamięć i dobre imię dopomina się rodzina

Jak pan zapamiętał swoją babcię, które jej cechy szczególnie utkwiły panu w pamięci?

Stanisław Torbus: Urodziłem się w 1985 roku, więc nie pamiętam czasu jej największej aktywności zawodowej. Pamiętam ją jako kochaną babcię, do której przyjeżdżałem. Mieszkała skromnie na ostatnim piętrze starej kamienicy w Zabrze. Jej pokój wypełniony był pamiątkami po pradziadku, różnymi jej odznaczeniami, ale przede wszystkim artefaktami związanymi

z historią Śląska i rodu Hagerów. Pradziadek miał na nią olbrzymi wpływ, zawsze to podkreślała i w ostatnich latach uwielbiała o nim opowiadać. Była wychowana w duchu patriotycznym i niepodległościowym - pradziadek był bliski przyjacielem Korfanteo, działaczem niepodległościowym i posłem na Sejm Śląski. Stąd też etos pracy lekarza i przekonanie, że ma być przede wszystkim blisko pacjenta, a nie odwrotnie. To było widać. Miała też całkowity brak respektu dla pienią-

dza, to nie było dla niej istotne, co pokazuje to, jak skromnie mieszkała pod koniec swojego życia. Ostatnio pani profesor Sadzikowska, która bardzo dobrze zna historię „Ołowianych dzieci” wspominała, że do kliniki zawsze jeździła tramwajem i nie traktowała pieniędzy jako punkt odniesienia.

Osoby, które znały Pana babcię, mocno zwracały uwagę na cechy jej osobowości: serdeczność i przyjazne nastawienie do ludzi

Proszę to zderzyć z obrazem bohaterki, profesor Berger. Z całym szacunkiem dla uwielbianej przeze mnie Agaty Kuleszy: odegrała postać bufona. Pierwsza jej scena, gdy doktor Wadowska-Król niby wykrywa ołowicę i zjawia się w willi profesor, która właśnie imprezowała i nie miała czasu. To był pierwszy cios w twarz. Nie dość, że to była odwrotna sytuacja i profesor Bożena Hager-Małecka wykryła tę ołowicę, pojechała do przychodni doktor Wadowskiej-

Król, czekała w korytarzu z innymi śląskimi kobietami, aż wejdzie do gabinetu pani doktor Wadowskiej-Król, co jest zresztą opowiedziane przez samą Wadowską-Król, że tak to wyglądało, po czym jej oznajmiła, że jest ołowica i trzeba zdiagnozować pozostałych pacjentów. Od razu zaczęły razem działać, bez tej bufonady. Pokazali babcię jako osobę, która cały czas żyje w sposób bardzo, bardzo wygodny, co było kompletną bzdurą. Przedstawili kompletnie inną osobę. Dokonali takiego zabiegu artystycznego, że wzięli faktycznie realną osobę, która była motorem tych zmian opisywanych w „Ołowianych dzieciach”, odebrali jej imię, nazwisko i zamienili w postać, która z założenia miała być wrogiem do bicia. Tak się z postaciami prawdziwymi nie robi. Babcią zawsze mówiła, że największym jej zawodowym osiągnięciem, z którego jest najbardziej dumna, jest wykrycie ołowicy i znalezienie mieszkań następczych. Teraz gigant medialny po prostu chce jej to odebrać i wymazać ją całkowicie z pamięci. Nie mogę wobec tego przejść obojętnie, bo nie będę mógł spojrzeć w lustro.

Jak historia dzieci z Szopienic funkcjonowała w pana rodzinie?

Wtedy się o takich rzeczach z dziećmi nie rozmawiało, jeśli chodzi o zawodowe rzeczy. Babcią opowiadała mi o tym, jak traktowała pacjentów, jak jeździła do przychodni, m.in. do Szopienic, że spotykała się co pół roku z lekarzami z poszczególnych placówek, a miała pod sobą całe województwo śląskie. O doktor Wadowskiej-Król też mówiła, była lekarzem z powołania. Natomiast to była działalność zawodowa, którą się z dziećmi w tamtych czasach nie dzieliło. Wspominała, nie unikała tego tematu, ale więcej mówiła o pradziadku.

Co pana najbardziej dotknęło w tym serialu?

Dwie rzeczy ubodły mnie najbardziej. Po pierwsze, przedmiotowe potraktowanie ludzkiej historii i drugiego człowieka. Wszystko w tym serialu, jeżeli chodzi o prof. Bożenę Hager-Małecką aka prof. Berger, jest nieprawdziwe, zmienione na potrzeby większych zasięgów serialu. Nie można bardziej przedmiotowo potraktować drugiej osoby i pamięci o niej. Pochwyciwszy od tego, że to ona wykryła ołowicę, że ona była motorem napędowym, że faktycznie kochała swoją pracę i wierzyła w nią. Była lekarzem z pasją i chroniła prof. Wadowską-Król. Nie było tam

nigdy żadnego konfliktu od początku do końca. To wszystko, jeśli chodzi o tę postać, jest całkowicie zmienione na potrzeby stworzenia westernu. Przyjeżdża osoba z zewnątrz, bo Wadowska-Król w serialu nie jest pokazana jako Ślązaczka, mimo że była nią z dziada, pradziada, tylko przyjeżdża ktoś z zewnątrz, nie wiem skąd i zbawia ten głupi, śląski lud, który zakażone rany u dzieci, w których wiją się robaki, daje psu do wylizania. To było specjalne operowanie emocjami, manipulowanie nimi, żeby pokazać beznadziejność tej sytuacji i ciemność, czyli nas, a prawda jest całkowicie inna. Trzy śląskie medyczki, każda z innej parafii, znalazły płaźczyzną porozumienia, jaką była chęć uratowania dzieci. Każda zakasała rękawy i wykorzystując swoje możliwości, wspólnie doprowadziły do szczęśliwego finału, czyli do przeniesienia tych rodzin w inne miejsca. Oczywiście, że każda wykorzystywała inne umiejętności. Nie ludźmy się: gdyby nie przyjaźń mojego pradziadka z Ziętkiem i znajomość mojej babci z Ziętkiem, to by się nie udało, bo Ziętek tam był postacią kluczową. Kolejna osoba ze Śląska, z dziada pradziada, która tę sytuację załatwiła. W tym, jak to przedstawili, nie ma ani grama prawdy, ani w postaci mojej babci, ani w całej historii trzech kobiet, które współpracowały.

To zastanawiające, bo z równościowej perspektywy platformy ta historia w ujęciu współpracy trzech różnych kobiet jest niemal gotowcem.

Historia współpracy kobiet w tym opresyjnym systemie. Kobiety tutaj same ogarniają tak trudny temat. Nie mam pojęcia, czemu służy ta „westernizacja”, tym bardziej że to była bardzo fajna, feministyczna opowieść i tak faktycznie było. Lekarki od początku działały razem, od początku wszystkie śląskie kobiety ich słuchały. Jak Wadowska-Król powiedziała, że mają wszystkie przyjść na badania, to była stuprocentowa frekwencja. Słuchałem kiedyś wywiadu z panem Pieprzycą i mówił, że tam, gdzie nie ma konfliktów, trzeba je stworzyć. Nie zgadzam się z tym, nie w historii inspirowanej, jak to określają, prawdziwymi wydarzeniami, którą Netflix wszędzie reklamuje jako historię prawdziwą, w co już teraz ludzie wierzą, a co dopiero będzie za pięć lat. To manipulowanie emocjami w taki sposób, żeby ludzie uwierzyli w tę historię, która jest przedstawiona w serialu. Wszystkie postacie historyczne mają swoje imiona i mniej więcej charakter oraz mniej więcej rolę, którą odegrały w tej

prawdziwej historii, z wyjątkiem jednej. To jest takim zabiegiem, który ma na celu wywołanie u widza przeświadczenia, że tak było naprawdę. I tak ludzie będą wierzyć, bo siłą rzeczy masę są przekazywanymi pamięci historycznej, a nie opracowaniami naukowymi czy dokumentami.

Czy w pana rodzinie toczy się taka wewnętrzna dyskusja, czy macie jedno i to samo stanowisko?

Jedno i to samo stanowisko, przelane zresztą na papier, na działalność w imieniu spadkobierców. Ona naprawdę była wspaniałym, ciepłym człowiekiem. Ta historia była dla niej kwintesencją jej kariery naukowej, zwieńczeniem i czymś, z czego była najbardziej dumna, bo wykazała się wtedy olbrzymią, niezwykłą odwagą i poświęceniem. Naprawdę ryzykowała własną karierę i wszystko, co miała. I ktoś jej to odbiera tylko dlatego, żeby sprzedać to na zagranicznych rynkach? No nie, trzeba powiedzieć nie.

Różne środowiska na Śląsku wśród głównych zarzutów wobec tej produkcji wskazywały właśnie na osobę pana babci i serialową profesor Berger. Jakie te głosy miały dla Pana znaczenie, że jednak ludzie stąd tak mocno stanęli za prawdą historyczną?

Nie jestem w stanie wyrazić, jak duże to miało dla mnie znaczenie, naprawdę. Zwłaszcza, że w miarę jak się rozpętywała ta burza medialna, to kolejne osoby z grona naukowego zaczęły się do mnie zgłaszać, utwierdzając mnie w tym przekonaniu, że było całkowicie inaczej, że aż tak nie można zmieniać tej historii, nie można jej odwracać od 180 stopni. To zarówno reakcja Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, któremu bardzo dziękuję za konferencję prasową poświęconą prawdziwej historii Bożeny Hager-Małeckiej, jest faktycznie strażnikiem prawdy i broni swojej profesorki, jak i reakcje pacjentów oraz lekarzy, którzy współpracowali i byli leczeni przez babcię. To potwierdza sens naszych starań, a to nie jest łatwa walka, bo zdania są podzielone. Część artystycznego świata, również na Śląsku, mówi, że artysta ma tę dowolność, ma licencję na pewną poetykę i można manipulować historią w taki sposób. Tylko pytanie, gdzie jest granica tej manipulacji. Gdyby ktoś odebrał Curie-Skłodowskiej odkrycie radu, to byłoby ok? Jeśli Chopin jest Francuzem, to jest ok? Fikcja literacka byłaby uzasadniona w tym przypadku, żeby wzmocnić przekaz? Ja uważam, że nie. Artysta, wypuszczając dzieło, bierze za nie od-



Prof. Hager-Małecka miała trzy wady: była bezpartyjna, była kobietą i była Ślązaczka

powiedzialność, jak i za to, co to dzieło zrobi w świecie rzeczywistym. W moim poczuciu ten serial zrobił wiele złego, jeśli chodzi o pamięć i o prawdziwą historię. Cieszę się, że ludzie, którzy znają historię, bronią jej, rozumieją ją, wspierają i głoszą prawdę. Na Śląsku moje wystąpienie znajduje o wiele większe zrozumienie niż w pozostałej części Polski. I to widać, Śląsk jednak pamięta i to cieszy.

Nie przekonują pana głosy, że dla dramaturgii serialu potrzebna była „szwarccharakterka” i właśnie dlatego, żeby nie oczernić pani profesor Hager-Małeckiej, stworzono fikcyjną postać profesor Berger?

To było absolutnie bezskuteczne. Już przed emisją serialu wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Powołują się w serialu na książkę o „Ołowiane Dzieci”, w której Michał Jędryka to bardzo jasno i rzetelnie opisał. W dniu premiery serialu sprawdziłem wpis na jego temat w Wikipedii i przy profesor Berger jest odnośnik do profesor Bożeny Hager-Małeckiej. Gdyby zmienili postać drugoplanową, trzecioplanową, może by wtedy to zadziałało, ale nie inicjatorkę całego wydarzenia. Mam wrażenie, że to był tylko i wyłącznie zabieg, który doradzili prawnicy w celu uniknięcia pozwu. Zmienili całkowicie przekaz historyczny. Prawdziwa historia była o tym, że nawet reżim komunistyczny można skruszyć współpracą i merytorycznym działaniem, a zaserwowali nam film o rewolwerowcu z Polski, który przyjechał za-

prowadzić na Śląsku porządek. To są dwa całkowicie inne przekazy.

Świadkowie historii wspominają, że profesor Hager-Małecka roztaczała nad doktor Wadowską-Król parasol ochronny. W serialu nie było to tak jednoznacznie pokazane.

Nie, tym bardziej że Grudzień naprawdę nie był jej przychylny, co zresztą doktor Wadowska-Król sama mówiła w wywiadach, że cytując: „był okropny”. Podobnie Jonek, ówczesny rektor Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, przyjaciel Grudnia. Można powiedzieć, że na tej linii był konflikt. Zarzucił mojej babci, że ma trzy wady: to, że jest bezpartyjna, jest kobietą i jest Ślązaczka. Powiedziała mi, że to się nigdy nie zmieni. Ona tam naprawdę miała mnóstwo wrogów, a mimo to jednak ryzykowała wszystko i podejrzewam, że to dlatego mówiła, że to było osiągnięcie jej życia. Ojciec opowiadał nam, że dziadek odradzał babci zaangażowanie w tę sprawę, „bo nas wszystkich pozamykają”. To był okres schyłkowy władzy Ziętka i jego parasol też nie był już taki silny. Doktor Wadowska-Król i moja babcia do końca swoich dni mówiły

o sobie nawzajem w samych superlatywach, między nimi nie było żadnego konfliktu. Chcę podkreślić, że jeśli jest coś pozytywnego z tego scenariusza, to to, że doktor Wadowska-Król i pani Wiesława Wilczek zostały uhonorowane, bo to o nim się należy.

Pani i pozostali spadkobiercy profesor Hager-Małeckiej wysłaliście do platformy Netflix przed sądowe wezwanie do zaniechania naruszania dóbr osobistych. Na co pan liczy w ramach tej inicjatywy?

Muszę odczarować to, co zrobił Netflix i to odczarować nie na chwilę, kiedy toczymy tę burzę medialną, tylko na lata, bo ten serial będzie emitowany przez lata. Chcę też stworzyć organizację pozarządową, która zajęłaby się dziejstwem rodu Hagerów. To jest bardzo zasłużony ród, od Maksymiliana, przez Bronisławę po Bożenę Hager-Małecką - wszyscy lekarze i społecznicy. Chodziło mi to już po głowie, gdy odnalazłem pamiętnik pradziadka, który udało się wydać w 2023 roku, natomiast serial Netflixa jeszcze bardziej zmotywował mnie do tego, żeby stworzyć strażnika tej pamięci, twardego niż ja czy szum medialny, żeby pilnował tej prawdy, a jednocześnie robił

MUSZĘ ODCZAROWAĆ TO, CO ZROBIŁ NETFLIX I TO ODCZAROWAĆ NIE NA CHWILĘ, ALE NA LATA, BO TEN SERIAL BĘDZIE EMITOWANY PRZEZ LATA



Bożena Hager-Małecka z mężem

coś dobrego. Skoro Netflix zmienił Śląską historię po to, żeby dotrzeć do jak najszerszego grona odbiorców, nazwijmy to tak eufemistycznie, to niech jakąś korzyść Śląsk z tego będzie miał. Jeśli jakiegokolwiek środka pojawi się ze strony Netflixa, to absolutnie wszystkie, zostaną przekazane na działalność stacjonarną Fundacji, która w założeniu ma współpracować ściśle, jeśli nawet nie pod nadzorem Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, bo zależy mi na transparentności. Jeśli będzie z tej mojej prawnej batalii jakiś profit, to trafi tylko i wyłącznie do Śląskich dzieci i Śląskich medyków, do nikogo innego. Chcę, żeby coś z tej historii było dla Śląska pozytywnego w sensie rzeczywistym, czyli żeby miało to wpływ na profilaktykę oraz badania dzieci i młodzieży na Śląsku, a także pamięć o mojej babci, żeby została zachowana zgodnie z prawdą.

To jest też w pewnym sensie kontynuacja jej dzieła. Jedną rzeczą jest ochrona pamięci historycznej, a drugą to, że...

... jej nazwisko dalej będzie leczyło dzieci. Tak, uważam, że to jest optymalne rozwiązanie i wszyscy, jako cała rodzina, jesteśmy tego zdania.

Rozmawialiśmy o wsparciu, jakiego udzieliła Panu społeczność w naszym regionie. Co to mówi o Ślązakach i Ślązaczkach, że bronią prawdy o swoich bohaterkach?

To, że faktycznie jesteśmy społeczeństwem, które ma swoją tożsamość, swoją pamięć, swoich bohaterów, o których jeste-

śmy gotowi walczyć. My mamy swój charakter i skoro bronimy swoich bohaterów, to znaczy, że naprawdę jesteśmy już dojrzałym społeczeństwem. Cieszę się, że Śląsk pamięta, bo naprawdę otrzymałem dużo wsparcia od samorządowców, środowiska naukowego, jak i samych pacjentów oraz ludzi, którzy znali profesor Hager-Małecką. Nie pozwalamy komuś zniekształcać naszej historii, bo jak zapomnimy o naszych autorytetach, to stracimy kompas, według którego podążamy, a nie zastąpi go sztuczna inteligencja. Dużo osób zarzuca mi, że gdyby nie było tego serialu, to nikt by się o mojej babci nie dowiedział, ale dowiedzieli się o profesor Berger, a nie o niej. To dzięki dyskusji medialnej dowiedzieli się o profesor Hager-Małeckiej. Trzeba też przyznać, że pamięć o bohaterkach tej historii miała się całkiem dobrze. Oczywiście nie była masowa, znano ją głównie na Śląsku, ale znano prawdę. Co jest lepsze: ładniejsze, masowe zniekształcenie, czy prawda znana regionalnie?

Czy twórcy nie przyłożyli się wystarczająco do poznania tej historii?

Nie, oni po prostu chcieli stworzyć z mojej babci szwarccharakterkę, a wiedzieli, że to się spotka ze sprzeciwem, więc stwierdzili, że profilaktycznie zmienią jej nazwisko. Jak zobaczyłem zawiązki serialu, w których Agata Kulesza gra profesor Berger, a wszyscy inni są pod swoimi nazwiskami, to zacząłem się zastanawiać, o co tutaj chodzi? Po zobaczeniu serialu już się to wyjaśniło.

Błąd wymiaru sprawiedliwości. Jak maturzysta spod Szczecina stał się Józefem K.

Jak to możliwe, że doświadczony prokurator oskarża niewinną osobę, choć miesiącami jest zalewany dowodami, że pomylił osoby o tym samym imieniu i nazwisku? Ale to już koniec koszmaru studenta ze Szczecina. Po publikacji „Głosu Szczecińskiego” prokuratura potwierdza, że oskarżyła go bezpodstawnie. Śledztwo trwało trzy lata. Nam ustalenie prawdy zajęło dwa dni

Mariusz Parkitny

Dobra. Niewielka gmina sąsiadująca ze Szczecinem. W jednym z domów do matury uczy się Karol Ś. Marzy o studiach technicznych w Szczecinie. Ma plany na przyszłość.

Pukanie do drzwi. To policja. Jest zaskoczony, choć nie bardzo, bo przecież czasem policjanci pukają do drzwi, aby się czegoś dowiedzieć. Np. dzielnicowy.

Ale od Karola policjanci nie chcieli informacji. Odwrotnie. Z informacją do niego przyszli.

- Jest pan poszukiwany, bo prokurator chce panu postawić zarzuty - mówią.

- Ale to chyba pomyłka - mówi maturzysta.

Teraz jest już naprawdę zaskoczony.

- Pan Karol Ś. - dopytują policjanci.

- Not tak, ale.... - nieśmiało próbuje ripostować przyszły student.

Na nic się to zda.

- Proszę się stawić na wezwanie organu. Na razie to wszystko. Do widzenia - mówią mundurowi i wychodzą. Jest 25 kwietnia 2025 r.

Upór prokuratury

W znanej powieści Proces Franza Kafki jest taki fragment: - Ktoś musiał oczernić Józefa K., bo choć nie zrobił nic złego, pewnego ranka został aresztowany.

Tyle, że Karola Ś. nikt nie oczernił. Ba, podejrzany o zakup narkotyków wykluczył, że to on mu je sprzedał. Ale prokurator wiedział lepiej.

Tę sprawę obserwowaliśmy od dłuższego czasu. Wydaje się tak, absurdalna, że zwlekaliśmy z publikacją, żeby wszystko dokładnie spraw-



Prokuratura zapowiada wewnętrzne postępowanie, które ma wyjaśnić jak to możliwe, że prokurator oskarżył nie tego Karola Ś., mimo, że informację o swojej pomyłce miał od dawna

dzić. Ale okazała się prawdziwa. Prokurator oskarżył Karola Ś. o handel narkotykami. Tyle, że nie tego Karola Ś., co trzeba.

I w swoim uporze trwał miesiącami. Po naszej publikacji na początku tygodnia, prokuraturze nadrzędnej zajęło dwa dni ustalenie, że prokurator faktycznie się pomylił.

- Przedmiotowa sprawa została poddana badaniu na szczeblu Prokuratury Okręgowej

w Szczecinie. W efekcie przeprowadzonego badania decyzję o skierowaniu aktu oskarżenia wobec podejrzanego Karola Ś. oceniono jako wadliwą. Akt oskarżenia został skierowany wobec niewłaściwej osoby, co było niezależną decyzją prokuratora referenta - potwierdza prok. Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. Zapowiada też wewnętrzne postępowanie, które ma wyjaśnić jak to możliwe, że prokurator oskarżył

nie tego Karola Ś., mimo, że informacje o swojej pomyłce miał od dawna.

- Stwierdzone nieprawidłowości będą przedmiotem odrębnego postępowania służbowego - dodaje prokurator Szozda.

Zagadką pozostaje to, jak to możliwe, że prokuraturze okręgowej udaje się potwierdzić nasze ustalenia w dwa dni, a przez wiele miesięcy nikt się nie zorientował, że śledczy popełnił kardynalny błąd i mimo pism wskazujących na pomyłkę, bnie w nią do końca.

- Może trudno w to uwierzyć, ale faktem jest, że prokurator oskarża nie tego Karola co trzeba - mówi nam mec. Patrycja Urban-Malada, szczecińska adwokatka.

Karol 2 i Karol 3

Musimy się cofnąć do 2023 r. Szczecińska prokuratura rejonowa prowadzi wtedy postępowanie w sprawie handlu narkotykami. 31 października 2023 r. jeden z podejrzanych - Adrian Ł. - wskazuje, że kupił je od niejakiego Karola Ś. na terenie dzielnicy Łękno, gdzie ten czasem pomieszkuje.

Prokurator zleca więc Wydziałowi Dochodzeniowo-Śledczemu Komendy Miejskiej Policji w Szczecinie podjęcie działań mających ustalenie informacji o Karolu Ś. To tzw. typowanie

Funkcjonariusze wywiązali się ze swojego zdania i wytypowali dwóch młodych mężczyzn o takim samym imieniu i nazwisku. Kolejnym etapem było rozpoznanie osoby, o której mówił Adrian Ł. Wejźmy na chwilę w meandry policyjnej roboty, bo to jeden z kluczowych wątków w tej historii.

Sporządzono dwie tablice poglądowe oznaczone numerami 1 i 2. Nas interesuje tablica nr 2. Są na niej zdjęcia czterech mężczyzn. Na odwrocie tablicy opisano kto jest kim: nr 1 - osoba przybrana (czyli niemająca związku ze sprawą), nr 2 - Karol Ś., nr 3 - Karol Ś. i nr 4 - następna osoba przybrana.

14 listopada 2023 r. Adrian Ł. stoi przed tablicą poglądową, na której są zdjęcia dwóch mężczyzn o tym samym imieniu i nazwisku i ma wskazać osobę od którego kupił narkotyki.

Wskazuje Karola Ś. ze zdjęcia opisanego jako nr 2.

- Rozpoznał Karola Ś. na fotografii nr 2 ze 100-procentową pewnością jako sprzedawcę narkotyków. Podaje też o nim

sporo dodatkowych informacji - mówi mec. Patrycja Urban-Malada.

Kim jest Karol Ś. ze zdjęcia nr 2? Adrian Ł. opowiadał, że Ś. przebywał w przeszłości w ośrodkach wychowawczych, jest od niego nieco starszy, wcześniej mieszkał nad morzem, a teraz pomieszkuje z ojcem w Szczecinie.

- Zatem podejrzany podał dość sporo danych identyfikujących Karola Ś., a przede wszystkim bez problemu i jakichkolwiek wątpliwości rozpoznał jego wizerunek - dodaje adwokatka.

Po rozpoznaniu postępowanie trwa nadal. Mijają miesiące. Wreszcie 12 lutego 2025 r. prokurator wydaje postanowienie o przedstawieniu zarzutów Karolowi Ś. I tu kolejny ważny element.

- W postanowieniu o przedstawieniu zarzutów nie ma wskazanego numeru PESEL ani żadnych danych identyfikujących bliżej Karola Ś. ze zdjęcia numer 2 - dodaje prawniczka.

Ale pięć dni później prokurator wydaje postanowienie o przeszkucaniu mieszkania zajmowanego przez Karola Ś. w jednej z nadmorskich gmin, podając PESEL i dane mężczyzny ze zdjęcia nr 2 (czyli tego, na którym rozpoznał handlarza Adrian Ł.). Prokurator zleca też policji zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie Karola Ś. Wszystko idzie więc jak powinno.

28 lutego 2025. policjanci nie zastają Karola Ś. w miejscu zameldowania nad morzem. Przesłuchują jego mamę. Dowiadują się, że syn od trzech lat pracuje w Niemczech. Przyjeżdża od czasu do czasu. Bez wypowiedzi.

**ADWOKAT: MOŻE TRUDNO
W TO UWIERZYĆ, ALE FAKTEM
JEST, ŻE PROKURATOR OSKARŻA
NIE TEGO KAROLA CO TRZEBA**

25 marca 2025 r. prokurator zawiesza śledztwo.

Czyje to dane?

Mijają dwa dni i prokurator przygotowuje dokumentację, na podstawie której mają się rozpocząć poszukiwania Karola Ś. ze zdjęcia nr 2.

I w tym momencie chyba trzeba szukać rozwiązania tej zagadki. Prokurator wpisał w dokumenty dane Karola Ś., ale tego ze zdjęcia nr 3, czyli niemającego nic wspólnego z handlem narkotykami!

- Prokurator nie wpisuje w dokumenty danych właściwego Karola Ś. zameldowanego nad morzem, a więc osoby wskazanej i rozpoznanej na tablicy pogładowej, tylko drugiego Karola Ś. oznaczonego numerem 3 na tej samej tablicy - mówi mec. Patrycja Urban-Malada.

Lista poleceń prokuratora jest długa: zarządzenie o poszukiwaniu podejrzanego, aby ustalić miejsce pobytu, zastrzeżenie na granicy Polski, na wypadek jej przekroczenia, sprawdzenie w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie, czy Karol Ś. pobiera świadczenia, w urzędzie wojewódzkim, czy ma paszport, w urzędzie pracy, w ZUS, w NFZ. Jedynym w zapytaniu do NFZ prokurator wpisał prawidłowe dane Karola Ś., czyli tego ze zdjęcia nr 2.

Kłopoty maturzysty Karola Ś.

Kim więc jest Karol Ś. ze zdjęcia nr 3? To właśnie nasz maturzysta z Dobrej. Po wizycie policjantów jest zdenerwowany, bo nigdy nie miał kłopotów z prawem, nie zna żadnego Adriana Ł. Nie wie nawet, gdzie w Szczecinie jest ulica gdzie mieszka drugi Karol Ś. I gdzie handlowano narkotykami.

Po wizycie policjantów poszukiwania zostały odwołane z uwagi na ustalenie miejsca jego pobytu.

- Po krótkim czasie mój klient otrzymał telefoniczną informację z policji, że to nie o niego chodzi i nie musi się nigdzie stawiać oraz, że wszystko jest wyjaśnione. Ta informacja w naturalny sposób go uspokoiła - dodaje adwokatka.

Po trzech miesiącach od wizyty policjantów, prokurator odwiesił śledztwo. W połowie lipca 2025 r. nakazał zatrzymać i przymusowo doprowadzić podejrzanego Karola Ś.

- Ale poszukiwał ponownie mojego klienta, czyli Karola Ś. nierozpoznanego na tablicy pogładowej przez Adriana Ł. - dodaje adwokatka.

Karola Ś. ze zdjęcia nr 3 policjanci zatrzymali 21 listopada 2025 r. rano w domu. Był już w tym czasie studentem szczecińskiej uczelni wyższej. Został przewieziony do prokuratury, gdzie usłyszał zarzuty.

SĄD UZNAŁ, ŻE STOSOWANIE ŚRODKÓW ZAPOBIEGAWCZYCH PRZEZ PROKURATORA BYŁO NIEZASADNE, ALE ZATRZYMANIE TAK

- Prokurator odebrał od zatrzymanego szczegółowe dane osobowe. Pomimo braku zgodności jakichkolwiek danych z danymi faktycznego sprawcy (oprócz imienia i nazwiska) prokurator mimo wszystko ogłosił Karolowi Ś. zarzuty i przesłuchał go w charakterze podejrzanego. Podczas przesłuchania prokurator okazał podejrzanemu tablicę nr 2, gdzie przesłuchiwany rozpoznał siebie jako mężczyznę oznaczonego numerem 3! - dodaje adwokatka.

Karol Ś. nie przyznał się do winy. Mimo wyjaśnień, prokurator nakłada na Karola Ś. z Dobrej środki zapobiegawcze w postaci dozoru policji (raz w tygodniu ma się stawiać na komisariat) oraz zakaz kontaktowania się i zbliżania do świadka.

Pod koniec listopada 2025 r. pierwszy obrońca Karola Ś. składa wnioski o umorzenie postępowania, że względu na to, że sprawa nie dotyczy tego mężczyzny. Ale w tym czasie prokurator zakończył śledz-

two i wysłał akt oskarżenia do sądu przeciwko Karolowi Ś. ze zdjęcia nr 3.

Prokurator przeprasza

W ubiegłym tygodniu na sali sądowej doszło do niecodziennej sytuacji. Sąd rozpatrywał zażalenie obrońcy Karola Ś. na zatrzymanie i środki zapobiegawcze. Gdy obrońca Karola Ś. tłumaczyła, że jej klient nie mógł przyjść, bo fałszywe oskarżenie odbiło się mocno na jego zdrowiu, prokurator wygłosił zaskakujące oświadczenie.

- Przepraszam - powiedział, choć nie wyjaśnił za co przeprasza, bo jednocześnie domagał się odrzucenia zażalenia obrońcy na zatrzymanie i środki zapobiegawcze.

- Były podstawy do ich wydania - mówił prokurator.

- Przecież to nie mój klient jest osobą, którą powinien pan oskarżać - replikowała mec. Patrycja Urban-Malada.

Sąd uznał, że stosowanie środków zapobiegawczych przez prokuratora było niez-

sadne, ale już zatrzymanie tak. Zdaniem obrony takie rozstrzygnięcie oznacza, sąd „nie zapoznał się z aktami sprawy”.

- Sąd zalegalizował zatrzymanie mojego klienta, choć nie jest on w sprawę udzielania środków odurzających w żaden sposób uwikłany. Lektura uzasadnień obu postanowień sądu dowodzi wprost, że sąd nie zapoznał się z aktami sprawy i również potraktował mojego mandanta jako właściwego podejrzanego, choć zażalenia obrońcy wprost wskazywały na co innego. Sąd uznając zasadność i legalność zatrzymania zamknął mojemu klientowi drogę do dochodzenia odszkodowania za niesłuszne zatrzymanie - ocenia mec. Patrycja Urban-Malada.

Dlatego w piątek w Prokuraturze Okręgowej w Szczecinie złożyła zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa niedopełnienia obowiązków i nadużycia uprawnień przez prokuraturę i sędziego rozpatrującego zażalenie. Poprosiła też o wsparcie Rzecznika Praw Obywatelskich.

- Mając świadomość wagi czynów, których dopuścili się funkcjonariusze publiczni, a także mając uzasadnione wątpliwości, iż sprawy te zostaną rozpoznane w sposób szczególnie wnikliwy - zasadnym jest objęcie postępowania szczegól-

nym nadzorem przez Rzecznika Praw Obywatelskich i zgłoszenie udziału zarówno w postępowaniu przygotowawczym jak i toczonym przed sądem - uważa adwokatka.

2 kwietnia sąd ma zdecydować, czy umorzy sprawę. Wobec wtorkowego oświadczenia prokuratury o pomyłce, jest to raczej przesądzone. Chyba, że prokurator wycofa akt oskarżenia wcześniej.

A co z Karolem Ś., fałszywie oskarżonym?

- Prokurator nie znalazł refleksji w wielu pismach procesowych kierowanych przez obrońców. Nie jest wykluczone, że młody człowiek nie poradzi sobie na trudnych, technicznych studiach, bo wiem zamiast spokojnie się uczyć i cieszyć życiem - od wielu miesięcy musi się stawiać na dozór, informować o wyjazdach, przestrzegać zakazu zbliżania się do osoby, której nie zna i nigdy nie widział, boi się ewentualnych kolejnych najść funkcjonariuszy policji. Nie wspomnę już o całkowitej utracie wiary w sprawiedliwość i bezpieczeństwo, które winno dawać państwo swoim obywatelom. Kolejne działania prokuratury i sądu pozwalają wątpić, że mój mandant odzyska swoje dobre imię - ocenia mec. Patrycja Urban-Malada.

MATERIAŁ INFORMACYJNY BIK

Twoje dane są cenne. W finansach bezpieczeństwo danych jest równie ważne jak przejrzystość

Kwota kredytu hipotecznego, zobowiązania na samochód, pożyczka gotówkowa, historia spłaty. To informacje niezwykle wrażliwe - nie tylko finansowo, ale i społecznie. Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek chciał pozwolić na to, aby takie dane trafiły do osób trzecich: sąsiadów, znajomych, a tym bardziej przypadkowych podmiotów komercyjnych.

W debacie o rynku finansowym bardzo często mówimy o przejrzystości. To ważne słowo, bo bez przejrzystości nie ma zaufania. Ale równie ważnym - a czasem nawet ważniejszym - fundamentem systemu finansowego jest bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo środków, bezpieczeństwo instytucji i bezpieczeństwo danych.

Dane finansowe to nie są zwykłe informacje statystyczne. To wrażliwe zapisy ludzkich decyzji, problemów i momentów słabości. Informacje o kredytach czy pożyczkach należą do najbardziej prywatnych danych, jakie można przetwarzać. Ich niewłaściwe wykorzystanie,



utrata kontroli nad nimi albo dostęp osób trzecich mogą mieć konsekwencje, które wykraczają daleko poza sektor finansowy.

Czy chcielibyśmy, aby ktoś postronny znał szczegóły naszych finansów? I kto bierze za te dane realną odpowiedzialność?

To pytania warto zadawać za każdym razem, gdy rozważamy zmiany systemowe.

Bezpieczny, stabilny i licencjonowany akcjonariat to realna ochrona danych kredytowych

Dyskusja o bezpieczeństwie informacji kredytowej nie może abstrahować od tego, kto faktycznie odpowiada za dane. Struktura właścicielska podmiotów zarządzających wrażliwymi danymi finansowymi nie jest technicznym detalem - jest fundamentem odpowiedzialności.

Biuro Informacji Kredytowej jest kontrolowane przez banki, w tym państwowe podmioty, w jednym z najbardziej regulowanych i nadzorowanych sektorów gospodarki. Ochrona danych finansowych klientów to nie marketingowe hasło, lecz obowiązek prawny, regulacyjny i reputacyjny.

Ten model nie powstał przypadkiem. Został zbudowany po to, aby wrażliwe

dane milionów Polaków były objęte tajemnicą bankową, a także zarządzane przez instytucje stabilne, przewidywalne oraz odporne na łatwe zmiany właścicielskie, czy także na krótkoterminowe decyzje biznesowe. W czasach rosnących zagrożeń cybernetycznych, wojny w Ukrainie i nasilających się działań hybrydowych ze strony Rosji, dane finansowe stały się elementem infrastruktury krytycznej państwa.

Silny podmiot o stabilnym akcjonariacie popartym zaufaniem publicznym ma realną zdolność do odpierania ataków i reagowania na incydenty. To nie jest abstrakcyjna teza - to kwestia bezpieczeństwa systemowego.

Czy chcemy, aby wrażliwe dane milionów Polaków trafiły do baz zarządzanych przez spółki będące w rękach prywatnych osób i mogących szybko zmienić właściciela?

Dziś informacje o opóźnieniach w spłacie kredytów konsumentów trafiają do centralnej, bezpiecznej bazy

BIK, a - zależnie od decyzji wierzyciela - także do biur informacji gospodarczej. Rozważane są rozwiązania, by wprowadzić obowiązek raportowania takich danych do wszystkich BIG-ów.

Część z biur informacji gospodarczej ma strukturę właścicielską skoncentrowaną wokół osoby prywatnej, która może w łatwy sposób podjąć decyzję o sprzedaży akcji spółki przypadkowym inwestorom - szybko, bez analizy intencji inwestora i bez systemowych gwarancji bezpieczeństwa i stabilności. W niepewnych czasach to ryzyko, którego nie wolno bagatelizować.

Zaufanie do systemu finansowego buduje się latami, a traci w jednej chwili. Centralny model wymiany informacji kredytowej funkcjonuje w Polsce od lat i dobrze spełnia swoją rolę: chroni konsumentów, wspiera odpowiedzialne kredytowanie i minimalizuje ryzyko systemowe.

W świecie rosnących zagrożeń cyfrowych nie potrzebujemy więcej drzwi do świata wrażliwych danych. Potrzebujemy solidnych zamków i odpowiedzialnych gospodarzy. Bo ostatecznie chodzi o coś bardzo prostego: aby nasze dane - tak jak nasze pieniądze - pozostały bezpieczne.

„WSZYSZY JESTEŚMY FRAJERAMI”? TAK (NIE) DZIAŁAJĄ STRAŻE MIEJSKIE W CAŁEJ POLSCE

– Jeżeli w polskich miastach karzemy kierowców, którzy parkują poprawnie średnio prawie cztery razy surowiej niż tych, którzy parkują niepoprawnie, to coś naprawdę jest nie tak – mówi Szymon Nieradka, jeden z autorów Rankingu Straży Miejskich

Szymon Paż

Zajrzałem do Rankingu Straży Miejskich i nie wiem, kogo chwalić. Jaka jest najlepsza straż miejska w Polsce?

Pierwszego miejsca nie ma. To wynik analizy współczynników, które policzyliśmy oraz porównania, które dało nam punkt odniesienia. Maksymalna liczba punktów do zdobycia wynosiła 1200. Straż, która zdobyła ich najwięcej, uzyskała 649 punktów, czyli niewiele ponad połowę.

To i tak nieźle. Patrząc na publikowane wyniki cząstkowe myślałem, że będzie dobrze, jeśli któraś dobije do 20-25 proc.

Mam bardzo dla pana, być może, zaskakującą informację – wszyscy mieszkańcy miast, nie tylko wojewódzkich, twierdzą, że mają najgorszą straż miejską w Polsce.

Wie pan, ci strażnicy czasami karzą ich mandatami, więc...

Nawet gorzej. Są też ci, którzy próbują zainteresować straż miejską nielegalnym parkowaniem i to w ogóle się im nie udaje. W związku z tym nie lubi ich ani jedna, ani druga strona. W przypadku parkowania, a to 80 proc. pracy strażników, sądzę, że jednak to ci ludzie, którzy próbują się do nich dodzwonić, mają z nimi więcej problemów, niż ci, którym oni wystawią te nieszczyśne 100 złotych mandatu.

Więc kto znalazł się za nieistniejącym liderem?

Drugie miejsce zajął Poznań, trzecie miejsce – Kraków.

Poznań?!

Tak. I co może też zaskakiwać, jest tutaj na bardzo solidnej pozycji, bo zdobył 649 punktów, a następny Kraków 561. To naprawdę duża różnica pomiędzy tymi dwoma miastami.

Jak to się w ogóle stało, że punktacja w rankingu za-



– **Mamy dane 407 straży miejskich w Polsce i mogę z ręką na sercu powiedzieć, że ani jedna nie działa prawidłowo. Natomiast wszystkie strefy płatnego parkowania, które prześwietliliśmy, działają fenomenalnie – mówi autor rankingu.**

czyna się od połowy maksymalnej liczby punktów?

Nawet te straże miejskie, które uzyskują maksymalną liczbę punktów w poszczególnych współczynnikach, mają bardzo niepokojące wyniki. Dla przykładu skupmy się na Poznaniu. Za co Poznań dostał najwięcej punktów? Za wydajność. Wydajność Poznaniaków w straży miejskiej jest oszałamiająca i bardzo, bardzo odstaje od reszty kraju.

Przepraszam, że się uśmiecham, ale stereotyp o Poznaniu powinien właśnie na to wskazywać. Choć to obecnie dość rzadkie.

Dobrze, ale czy pan zgadnie w takim razie, ile w Poznaniu się tych mandatów miesięcznie poszczególny strażnik wystawia?

Widziałem te dane kilka tygodni temu temu. To było kilkanaście sztuk.

Właśnie – raptem kilka, kilkanaście sztuk. I to jest najbardziej efektywna straż miejska w Polsce. Myślę, że to jest to pewnego stopnia odpowiedź na pytanie jak to się stało z tymi wynikami. Tam, gdzie nie mamy naturalnego sufitu, po prostu dawaliśmy maksymalną liczbę punktów tej straży, która dany współczyn-

nik dobiła do samej góry. Czasami bywał taki ideał w danej kategorii i wtedy w zasadzie wszystkie inne straże miejskie wypadały bardzo, bardzo słabo. Była też straż miejska, która nam ten ranking psuła całkowicie – bo w Zielonej Górze się po prostu tych mandatów w zasadzie nie wystawia i ona nam niweczyła całą punktację, cały wynik. Tak więc tylko Poznaniacy uzbierali ponad połowę punktów, ale tak odrobinę ponad połowę, a wszędzie indziej te współczynniki są zatrważająco małe. Mnie osobiście najbardziej niepokoi to, że to są współ-

czynniki dotyczące spraw, nad którymi najczęściej się zastanawiamy: np. holowania sprzed przejść dla pieszych, zakładania blokad. To są zatrważająco niskie liczby. Ale szczególnie oburza mnie część dotycząca porównania stref płatnego parkowania z wystawianymi mandatami. Tutaj rekordzistą jest Opole, gdzie strażnicy miejscy wystawiają dziewięć razy mniej mandatów niż kontrolerzy SPP wystawiają opłat dodatkowych, często mylonych z mandatami. Czyli ludzie, którzy parkują prawidłowo w liniach w Opolu, są dziewięciokrotnie bardziej narażeni na otrzyma-

nie opłaty dodatkowej niż ci, którzy po prostu mają wszystko w nosie, szukają tabliczki z napisem „Parking płatny. Koniec” i dokładnie tam parkują. To jest niestety tendencja ogólnopolska. Jeżeli w polskich miastach karzemy kierowców, którzy parkują poprawnie średnio prawie cztery razy surowiej niż tych, którzy parkują niepoprawnie, to coś naprawdę jest nie tak.

Rozumiem, że tu chodzi właśnie o sytuację, kiedy karzemy tą opłatą dodatkową osoby, które na przykład nie przedłużyły biletu parkingowego?

Tak, bo nikt o zdrowych zmysłach u nas nie wpadnie na pomysł, że zaparkuje na płatnym i nie zapłaci, bo mu się może upiec. Nie, nie. Tam mamy gwarancję, że ta opłata jest nieunikniona i surowa. Tam nie ma pouczeń, nikt się z nami nie cacka. W związku z tym to są generalnie bardzo drobne uchybienia – to są ludzie, którzy się spóźnili, pomylili numer rejestracyjny. Czasami mylą też strefy, jeżeli jest ich kilka. Więc to są zawsze dosyć drobne błędy ludzkie.

A przypomnijmy, że strefy płatnego parkowania przeciętne obejmują tylko fragment miasta, a nie całe. A przecież straż działa na całym terenie miasta.

Ranking skupiał się właśnie na kwestii parkingowej?

Tak, ale to wynika z naszych badań. Pada czasami taki argument, że przecież straże miejskie nie zajmują się tylko parkowaniem. Sprawdziliśmy to. Niestety, zajmują się tylko parkowaniem i mamy na to bardzo konkretne liczby. Założyliśmy, że straż miejska powinna zajmować 10 różnymi rzeczami, z których parkowanie stanowi jedną lub część tej jednej. Ale wyszło, że zajmuje

FOT. LUKASZ GDAK

I RANKING STRAŻY MIEJSKICH

NAJLEPSZE

2. Poznań (649 punktów na 1200 możliwych)

Rekordzista wydajności – miesięczna liczba mandatów parkingowych na strażnika jest najwyższa w Polsce; straż miejska aktywnie korzysta z blokad kół i holowań. Słabości: bardzo duża koncentracja na samym parkowaniu - SM prawie nie zajmuje się innymi wykroczeniami. Także „pazerny” samorząd - opłaty SPP wynoszą ponad trzykrotność wartości mandatów straży za parkowanie.

3. Kraków (561 punktów)

Jedna z najlepiej dofinansowanych straży miejskich, wysoka obsada i duży budżet per capita przekładają się na dobre (choć nie najlepsze) wyniki w większości obszarów. Niestety SM Kraków mało holuje i daje dużo pouczeń. Stosunek kar w SPP do mandatów SM rozczarowujący.

4. Gdańsk (545 punktów)

Jedna z najbardziej surowych i efektywnych mandatowo jednostek w Polsce; wysoka reaktywność na zgłoszenia mieszkańców plasuje ją w krajowej czołówce pod tym względem. Słabości: holowania pozostają na niskim poziomie mimo dobrych wyników w innych kategoriach; wynagrodzenia strażników należą do najniższych w badaniu. Samorząd przekracza trzykrotny próg fiskalny - SPP pobiera wyraźnie więcej niż wynosi wartość mandatów straży.

NAJGORSZE

17. Białystok (208 punktów)

Mandaty parkingowe formalnie poniżej progu Mandatów PRD - jeden z nielicznych pozytywów przy umiarkowanej obsadzie. Słabości: straż jest wyjątkowo łagodna, blokad niemal nie stosuje, na zgłoszenia reaguje sporadycznie, a aktywność holownicza należy do najniższych w Polsce.

18. Rzeszów (177 punktów)

Jedna z najmniejszych i najsłabiej dofinansowanych jednostek w badaniu, co determinuje wyniki we wszystkich kategoriach. Zerowa aktywność blokadowa i holownicza we wszystkich metrykach; mandaty parkingowe minimalnie przekraczają próg Mandatów PRD. Umiarkowany stosunek opłat SPP do mandatów SM - jeden z niewielu plusów.

19. Zielona Góra (138 punktów)

Siła pozorna: najniższy w Polsce udział mandatów parkingowych skutkuje maksimum punktów w Mandatach PRD - ale to efekt niemal zerowej aktywności, nie różnorodności egzekwowania. Straż funkcjonuje symbolicznie: najniższa obsada i budżet w Polsce z bardzo dużym marginesem, brak blokad, holowań i danych o SPP.

się parkowaniem w 90 procentach. Coś tu jest nie tak, że ta straż miejska generalnie po prostu już nic innego nie robi.

I akurat w Poznaniu – będę sobie pozwalała wracać do tego przykładu – poznańska Straż Miejska zajmuje się parkowaniem w 82 procentach. Czyli można przyjąć, że to jest straż parkingowa w Poznaniu. Rekordzistą jest Szczecin z 92 proc., potem Wrocław z 89 proc. Poznań wysoko w czołówce, za to dostał więc mało punktów.

Wśród opublikowanych wcześniej wyników cząstkowych zwróciłem uwagę, że

Poznań ma bardzo mały odsetek „załatwionych zgłoszeń”. Zwróć uwagę, że większość polskich miast wykonywała badania, analizy parkingowe, czyli np. faktycznie wchodzono po ulicach i fizycznie liczone nieprawidłowo zaparkowane pojazdy. Udało nam się pozyskać te dane z urzędów miast i dzięki temu oszacowaliśmy, jakie jest ryzyko otrzymania mandatu – poniżej jednego procenta.

To kolejna niepokojąca rzecz: nie dość, że karzemy dużo wyższymi karami kierowców, którzy parkują poprawnie, to tam mamy w zasadzie gwarancję, że ta opłata dodatkowa, mylona z mandatem, się pojawi. Natomiast w przypadku parkowania nielegalnego szansa na to jest poniżej jednego procenta. Ujmując to jeszcze inaczej: jeżeli średni mandat od straży miejskiej to 149 zł, a ryzyko otrzymania mandatu jest poniżej 1 procenta, to nawet zaokrąglając to w górę, nielegalne parkowanie w Polsce kosztuje 50 zł miesięcznie. To się po prostu opłaca.

Z czego to wynika? Z jednej strony mamy przepisy, które chronią kierowców, bo strefy obejmują wyznaczone miejsca w strefach parkingowych, a nie całe ulice. Z drugiej wprowadzamy nowe technologie w dziedzinie kontroli parkingowej, jak samochody automatyzujące kontrolę. Takich narzędzi brakuje strażnikom? Czy może jest tam inny, głębszy, strukturalny problem?

Jeśli popatrzymy na wyniki poszczególnych straży miejskich, to można powiedzieć, że to jest wyłącznie problem strukturalny, przepisów itp. i że strażnicy nie mogliby robić rzeczy lepiej. Ale jeżeli mówię mieszkańcom Warszawy, że dwie trzecie odholowań samochodów w Polsce odbywa się w Warszawie, a w Poznaniu w zasadzie się nie odholowuje, to oni są bardzo zdziwieni. Tak jak gdy mówię Poznaniakom, że mają najlepszą straż miejską w Polsce, to naprawdę robią bardzo duże oczy.

Powiem więcej – mamy dane 407 straży miejskich w Polsce i mogę z ręką na sercu powiedzieć, że ani jedna nie działa prawidłowo. A wydawałoby się, że przy takiej liczbie to przynajmniej jedna powinna funkcjonować ok. Natomiast wszystkie strefy płatnego parkowania, które prześwietlił, działają fenomenalnie. Więc coś tu jest nie tak w otoczeniu prawnym.

To nie może być wyłącznie opieszałość i inne rzeczy, które lubimy zarzucać funkcjonariuszom. Tam musi być jakiś problem strukturalny. Na pewno otoczenie prawne jest wadliwe. Powodów jest kilka. Taryfikator mandatów nie został dotknięty od 22 lat, od listopada 2003 r., gdy ostatni raz zmodyfikowano ten taryfikator. Zdecydowana większość mandatów za parkowanie to 100 złotych. W moim rodzinnym mieście – Szczecinie – opłata za to, że się spóźnimy w strefie płatnego parkowania to 400 złotych. Opłata za to, że w autobusie nie skasujemy biletu, bo się zagapiliśmy, to 400 zł. Opłata za to, że rzucimy papierek na ulicę to 500 złotych. Natomiast jeżeli przysłowiowo rzucimy w to samo miejsce pojazd – dwie tony plastiku i stali – to jest to 100 złotych. To wydaje mi się skrajnie niesprawiedliwe.

Taryfikator mandatów, którego politycy – a konkretnie premierzy, bo to nie jest w ustawie zamrożone, to rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów – nie ruszyli od 22 lat, tkwi mentalnie w czasach, kiedy pensja minimalna wynosiła 800 złotych. Druga rzecz to o czym pan wspominał: mamy nieuczciwe strefy płatnego parkowania, w których obowiązują podwójne standardy – obowiązują surowe kary dla ludzi, którzy parkują w liniach i bardzo pobłażliwe i niskie dla wszystkich pozostałych, którzy mają na tyle beczelności, żeby zaparkować gdzie po-padnie. Znowu, o ciekawe, wcale nie wynika to z ustawy. Swego czasu było różnie, poszczególne województwa interpretowały tę ustawę w różny sposób. W 2018 r. Naczelny Sąd Administracyjny

orzekł, że jego zdaniem w języku polskim wyznaczone miejsce oznacza miejsce wyznaczone linią poziomą oraz znakiem. W związku z tym kilka lat temu zaczęło się malowanie na gwałt tych miejsc wszędzie w całej Polsce, bo trzeba było zwracać opłaty itd. To spowodowało to, o czym już wspominałem – surowo traktujemy tych parkujących legalnie, łagodnie tych nielegalnie. Możemy spojrzeć na to też w inny sposób: albo wszyscy jesteśmy frajerami albo jesteśmy dużo bardziej zdyscyplinowanym społeczeństwem, niż nam się wydawało. Bo skoro te 80-90 proc. kierowców gra w tę nieuczciwą grę, chodzi do tych parkomatów, opłaca, zostawia karteczki za szybko i ryzykuje dużo większe pieniądze, niż gdyby zaparkowali na zakazie...

Jest jakikolwiek element, z którymi straż sobie radzą przyzwoicie?

Jeżeli statystyczna straż miejska w Polsce zajmuje się parkowaniem w ponad 76 proc., a widzimy, że radzi sobie z tym dramatycznie źle w porównaniu do innej służb parkingowych, które przecież mają teoretycznie dużo słabsze narzędzia, to dużo odpowiedź brzmi nie, niestety nie takiego obszaru. Co gorsza, ten obowiązek, który zajmuje im zdecydowaną większość czasu, powoduje, że nie możemy na nich liczyć w innych sytuacjach. Więc to jest nie tylko problem parkowania, ale także wielu innych – spalania śmieci, nieczystości itd., którymi chcielibyśmy, żeby strażnicy się zajmowali, ale oni są zalani zgłoszeniami związanymi z parkowaniem, do których nie mają narzędzi.

Czy strażakom w jakikolwiek sposób pomaga zakładanie blokad zamiast wypisania mandatu? Czas obsługi zgłoszenia staje się dłuższy, trzeba się wrócić, gdy kierowca orientuje się, że nie wyjedzie. Czy to nie jest zbędna, wręcz idiotyczna zaszczość?

Nie, nie, już tłumaczę. Przede wszystkim te około 15 proc. kierowców, którzy świadomie i systematycznie parkują na zakazach (szczególnie w strefach płatnego parkowania, za co są w pewien sposób wynagradzani), to ludzie którzy wiedzą, że jeżeli straż miejska zostawi im mandat za szybko, to to wcale nie jest mandat. Gdyby to był kwit od kontrolera to byłoby jak wyrok – kwota, którą trzeba przelać. Wszyscy, którzy próbowali się od tego odwołać, wiedzą, że to bardzo skomplikowane. To, co zostawia straż miejska, to jest swego rodzaju prośba:

„Drogi właściciel samochodu, powiedz nam, kto tego dnia prowadził ten pojazd i dokonał tego wykroczenia. Wtedy my w cyklu trzech listów poleconych ukarzymy go mandatem 100 złotych”. I to się w zasadzie mogłoby opłacać – lepiej by było to zapłacić i mieć z głowy. Ale można też wpisać tam losowe dane, odebrać to z powrotem i... nie ma mandatu. Jest oczywiście na to wiele innych sposobów. Jeżeli samochód jest na zagranicznych numerach rejestracyjnych – jestem ze Szczecina, mamy tutaj takich pojazdów sporo – to ci kierowcy po prostu wyrzucają to do śmietnika od razu.

W związku z tym blokada powoduje dwie rzeczy. Jest dużo większa szansa jest na to, że faktycznie ukarzymy sprawcę (choć oczywiście są tacy, którzy potrafią przyjść i powiedzieć, że samochód pożyczony sąsiadowi, on ma na imię Mariusz i tego dnia wyprowadziście razem psa i tylko tyle wie na ten temat, ale tak bezcelnych kierowców jest mniej). Druga to, przynajmniej w moim doświadczeniu z całej Polski poza Warszawą, że blokada działa jak straszak. Faktycznie w tym miejscu, przez pewien czas, kierowcy nie parkują.

W związku z tym to jest wysiłek ekstra i faktycznie, obsługa takiego zgłoszenia jest dłuższa, ale kończy się mandatem od ręki. Po za tym je policzymy, że wystawienie jednego mandatu przez strażnika miejskiego w Polsce – gdy podzielimy czas pracy strażników, uwzględnimy urlopy itd., weźmiemy do rachunku ile tych mandatów wystawi – zajmuje 22 godziny, to ta blokada nagle się okazuje się całkiem szybka, prawda? Wiem, jak to wygląda. Ale w związku z tym, że ilość papierkowej pracy, którą strażnicy muszą wykonać, żeby ukarać sprawcę, jest tak duża, to w tym kontekście blokady i holowniki wydają się bardzo szybkim procesem.

Czy z waszej analizy wynika, czemu strażnicy tak niechętnie holują niewłaściwie zaparkowane pojazdy?

To jest pewien fenomen. Powodów jest kilka. Pierwszym, który widać w statystykach, jest to, że pomimo tego, że ustawa definiuje wiele różnych powodów, dla których pojazd można z miejsca usunąć, to straż miejskie nie holują w sytuacjach, które są uznaniowe, w których odholowanie zależy od strażników. Holują w dwóch przypadkach – gdy są tabliczki T-24 (ta charakterystyczna tabliczka z holownikiem), bo tam nie ma dyskusji, nikt im nie może zarzucić, że nie mogli. I holują z miejsc dla niepełnospraw-

nych, bo to znowu jest miejsce, w którym nie ma dyskusji; ustawa na to pozwala. Ale jeżeli jest to tak zwane „stwarzanie zagrożenia”, to prawie nikt w Polsce nie holuje z tego paragrafu, bo sądy – tak przynajmniej bronią się strażnicy – potem obalają im tego typu interwencje, trzeba oddawać pieniądze itd. Mamy więc na pewno problem z tym przepisem. Holujemy marginalną liczbę pojazdów wyłącznie w sytuacjach, kiedy to jest aż nadto oczywiste. Mam też wrażenie, że jest taki specyficzny efekt rozpiętości pomiędzy taryfikatorami, które były waloryzowane przez ostatnie 20 lat i nie były waloryzowane. Jeżeli strażnik miejski ma do dyspozycji mandat albo holowanie, które kosztuje kilkaset złotych, to skoro nie jest specjalnie lubianą osobą w tej sytuacji, to będzie miał większą skłonność, by pozostać przy tym mandacie bądź przy pouczeniu. To niestety doskonale widać w przypadku policji – jest jedna pozycja w taryfikatorze, która jest nowsza, nie z 2003 roku, czyli jazda wzdłuż chodnika, 1500 zł. Obiektywnie to dość duża kwota. Ale co to oznacza w praktyce? Policjant ma do wyboru: mandat 1500 zł albo pouczenie. W 95 proc. przypadków daje pouczenie. Tak działa tego typu rozpiętość.

Autorami publikacji są Szymon Nieradka (Miejska Agenda Parkingowa), dr hab. Piotr Wójcik oraz dr. Maciej Światała (Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego). Ranking jest częścią aktualnie tworzonego artykułu naukowego analizującego całkowity koszt nieprawidłowego parkowania w Polsce. Pełne wyniki rankingu straży miejskich oraz metodologia na stronie agendaparkingowa.pl

CV



Szymon Nieradka informatyk, konsultant ds. zarządzania, pracował m.in. nad pierwszymi wersjami systemu Blik, przedsiębiorca (prowadził m.in. lokal Stojaki w Szczecinie). Atywista miejski rodem ze Szczecina, twórca Stop Cham Szczecin i współtwórca Miejskiej Agendy Parkingowej.

DLACZEGO JEZUS WJECHAŁ DO JEROZOLIMY NA OSIOŁKU?

Dlaczego na osie, a nie na koniu? Dlaczego nie wjechał na wozie albo nie wszedł pieszo? Czy akurat osioł najlepiej pasował do Króla, którego zapowiadał prorok Zachariasz?

Mariusz Grabowski

Stało się to – tłumaczy Ewangelista Mateusz – żeby się spełniło słowo Proroka: »Powiedźcie Córze Syjonu: Oto Król twój przychodzi do ciebie łagodny, siedzący na osiołku, źrebięciu osłicy«.

Pocziwy osioł?

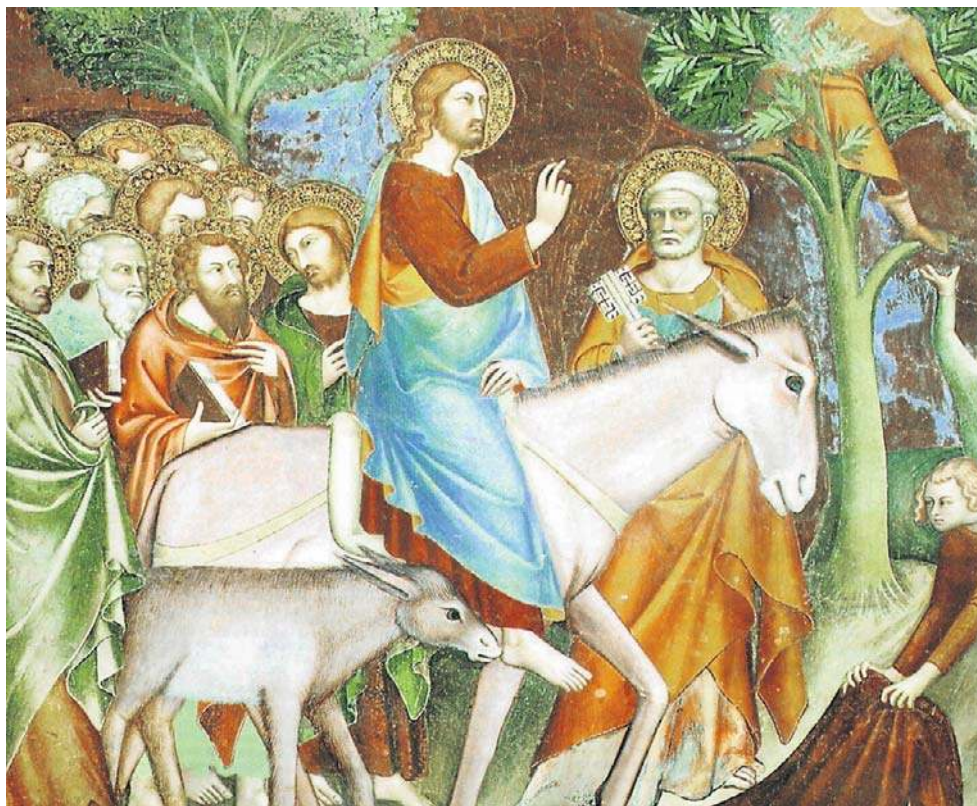
Chrystus na osie pośród wiwatujących tłumów to jeden z najbardziej sugestywnych obrazów Nowego Testamentu. Ale z osłem jest pewien kłopot: w Piśmie Świętym wspomina się o nim ponad 130 razy, ale nie zawsze pozytywnie. Co ciekawe, więcej cech pozytywnych przypisywano osłicy niż osłowi, co dziś ma małe znaczenie, lecz w świecie żydowskim znacznie większe.

W ikonografii chrześcijańskiej był uznawany za zwierzę pracowite, przypisywano mu wytrwałość, cierpliwość, posłuszeństwo i pokorę. Kilka lat po wjeździe Chrystusa do Świętego Miasta Orygenes napisał wprost, w komentarzu do Ewangelii Łukasza, że osioł symbolizuje człowieka wierzącego, którego Jezus Chrystus zamierza zbawić.

Ale osioł uchodził też za symbol zawiści, szatana, lenistwa. W niektórych przypadkach cudzołóstwa (np. w Księdze Ezechiela (23,20), gdzie osioł jest użyty jako metafora potencji seksualnej kochanków). Do osłów przyrównywano ponadto m.in. heretyków. Z czasem osła uznano też za symbol ślepoty narodu żydowskiego i Synagogi.

„To jest prorok”

Otwórzmy Ewangelię Mateusza na rozdziale 21: „Gdy się zbliżyli do Jerozolimy i przyszedli do Betfage na Górze Oliwnej, wtedy Jezus posłał dwóch uczniów, mówiąc im: »Idźcie do wsi, która jest przed wami, a zaraz znajdziecie uwiązaną osłicę i przy niej źrebię. Odwiążcie je i przyprowadźcie do Mnie. A gdyby wam ktoś coś mówił, powiecie: »Pan ich potrzebuje i zaraz je odeśle«». A stało się to, żeby się spełniło słowo Proroka: »Powiedźcie Córze Syjonu: Oto Król twój przychodzi do ciebie łagodny, siedzący na osiołku, źrebięciu osłicy«.



Na początku IV w., kiedy tylko ustały prześladowania chrześcijan, wjazd Jezusa do Jerozolimy przerodził się w święto, które znamy dziś jako Niedzielę Palmową

Uczniowie poszli i uczynili, jak im Jezus polecił. Przyprowadzili osłicę i źrebię i położyli na nie swe płaszcze, a On usiadł na nich. Tłum zaś ogromny słał swe płaszcze na drodze, a inni obcinali gałązki z drzew i słałi nimi drogę. A tłumy, które Go poprzedzały i które szły za Nim, wołały głośno: »Hosanna Synowi Dawida! Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie! Hosanna na wysokościach!«.

Gdy wjechał do Jerozolimy, poruszyło się całe miasto, i pytało: »Kto to jest?«. A tłumy odpowiadały: »To jest prorok, Jezus z Nazaretu w Galilei«.

Przybywa Król!

W powyższej scenie wypełnia się to, co zostało napisane przez proroka Zachariasza: przybywa Król pokoju przybrany w prostotę i „Jego panowanie rozciąga się aż po krańce ziemi” (por. Za 9,10).

Jezus jest Królem i dlatego wkracza do królewskiej Jerozolimy, ale nie przemocą, nie rozgłaszając powstania przeciw rzymskim wojskom. Jego potęgą rodzi się z prostoty, bożego

pokoju, jedynego źródła zbawczej mocy. Sw. Josemaria Escrivá de Balaguer, w homilii na temat tego fragmentu zaznacza wręcz, że „kiedy się zbliża chwila Jego Męki, Jezus, chcąc okazać swoją królewską godność, w sposób obrazowy, triumfalnie wkracza do Jerozolimy na osie!”.

Zaś bł. Álvaro del Portillo dodaje: „Aby osiołek mógł nieść Pana (...) potrzebne było, aby jakaś dusza apostołska poszła odwiązać go od żłobu. W taki sposób każdy z nas powinien iść do dusz, które nas otaczają, i które czekają na rękę apostoła (...), która odwiąże je od żłobu rzeczyświatowych, aby być tronem Pana”.

Łagodność, nie siła

Uroczysty wjazd Jezusa do Jerozolimy opisują wszystkie cztery Ewangelie. Przypomnijmy chronologię wydarzeń: Jezus dwa dni wcześniej wskrzesił w Betanii Łazarza. Wieść o tym cudzie rozeszła się szeroko wśród ludu, wielu przybyło do Betanii, by zobaczyć wskrzeszonego. Jezus już wcześniej był bardzo znany wśród

Żydów, a po tym wydarzeniu Jego sławą jeszcze wzrosła.

Po wizycie w Betanii Jezus udał się do Betfage; tam polecił uczniom, by znaleźli osiołka, na którym wjechał do Jerozolimy. „W tamtych czasach królowie wjeżdżali do miast na koniu, który był zwierzęciem bojowym. Gdyby więc Jezus chciał ukazać się ludziom jako Król-triumfator, z pewnością wybrałby właśnie konia. Ale Jezus wybrał osiołka, żeby pokazać, że Jego królowanie jest inne – łagodne i pokorne” – twierdzi ks. prof. Józef Naumowicz, patrolog i znawca wczesnego chrześcijaństwa.

O „łagodnym królowaniu” pisał już św. Augustyn: „Nie jest Chrystus królem Izraela dla nakładania podatków lub żeby mieć wojsko żelazem uzbrojone i fizycznie pokonywać wrogów, lecz jest On Królem Izraela, który duchami rządzi, o wieczność się troszczy, bo wierzących, ufających i kochających, do królestwa niebieskiego prowadzi”.

W tle Krzyż

W Ewangelii Mateusza ważny z punktu widzenia jego

interpretacji jest nakaz Jezusa, aby uczniowie przyprowadzili „osie, którego jeszcze nikt nie dosiadał”. W starożytnym świecie żydowskim osioł był bowiem zwierzęciem wykorzystywanym do prac wokół domu. Wiemy jednak, że był też związany z postacią Króla. Widać to w historii Salomona: Król Dawid, chcąc ustanowić go następcą na tronie, nakazuje posadzić Salomona na swoim osie, zaprowadzić do źródła Gichon i tam dokonać rytuału namaszczenia (1 Król 1,32-34). W tym kontekście wjazd Jezusa na osie do Miasta Świętego zyskuje mesjański, królewski charakter.

Ten uroczysty ingres Jezusa – Mesjasza na osłęciu, kontrastuje ze sposobem obejmowania władzy przez możnych tego świata. Jezus przybywa jako Król pokoju, pokorny i łagodny. Tymczasem władcy tego świata muszą uciekać się często do siły i przemocy.

To zarazem zapowiedź wydarzeń, które będą miały miejsce już za kilka dni. „Jezus wjeżdża do Jerozolimy na pożyczonym Mu osiołku (...) Wśród tej radości poprzedzającej uroczystości paschalne Jezus jest skupiony i milczący. Jest w pełni świadomy tego, że to spotkanie serc ludzkich z wiecznym Wybraniem nie dokona się przez »Hosanna!«, ale przez Krzyż” – mówił św. Jan Paweł II w homilii na Niedzielę Palmową wygłoszonej 8 kwietnia 1979 r.

Palmy i płaszcze

Przyjrzyjmy się innym symbolom, towarzyszącym wjazdowi do Jerozolimy. Ewangelista Marek pisze: „Przyprowadzili więc osie do Jezusa i zarzucili na nie swe płaszcze, a On wsiadł na nie. Wielu zaś słało swe płaszcze na drodze, a inni gałązki ścięte na polach. A ci, którzy Go poprzedzali i którzy szli za Nim, wołali: »Hosanna! Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie. Błogosławione królestwo ojca naszego Dawida, które przychodzi!”.

Zacznijmy od „gałązek ściętych na polach”. Ks. Naumowicz wyjaśnia, że w świecie starożytnym palma była drzewem królewskim, symbolem

triumfu i zwycięstwa. Gest symbolicznego uniesienia palmy także dziś oznacza, iż uznajemy Jezusa za Zbawiciela i króla, i chcemy za Nim podążać.

Głęboko symboliczne i historyczne na też „słanie płaszczy na drodze”. Na starożytnym Bliskim Wschodzie zrzućcie odzienia było aktem poddaństwa i najwyższego szacunku, okazywanym władcom lub osobom o wielkim znaczeniu. Z kolei okrzyk „Hosanna” z psalmu 118 znaczy dosłownie: „Zbaw, proszę”. Użycie go w odniesieniu do Jezusa było w rzeczywistości zrównaniem Go z Bogiem.

Patriarcha na osie

Na początku IV w., kiedy tylko ustały prześladowania chrześcijan, wjazd Jezusa do Jerozolimy przerodził się w święto, które znamy dziś jako Niedzielę Palmową. Z zachowanego opisu pątniczki Egerii wynika, że w pierwszych wiekach w Jerozolimie procesja z palmami rozpoczynała się na Górze Oliwnej.

Sam patriarcha Jerozolimy dosiadał osia i zjeżdżał na nim do Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Przez całą drogę liście palmowe przed jadącym osiołkiem kładły dzieci. Następnie wszyscy udawali się do bazyliki Anastasis, gdzie sprawowano uroczystą liturgię.

Z czasem zwyczaj ten rozprzecznił się na cały Kościół. W Rzymie już w IV w. w Niedzielę Palmową czytano w kościołach nie tylko Ewangelię o wjeździe Jezusa, ale też opis Męki Pańskiej. Zwyczaj ten obowiązuje do dziś w całym Kościele

Znaki i ich brak

Zwyczaj święcenia palm pojawił się już ok. VII w. na terenach dzisiejszej Francji, ale w obrządkach całego Kościoła stał się powszechny dopiero w wieku XI. Obrósł też dodatkowymi symbolicznymi gestami.

Np. aż do reformy Kościoła katolickiego z 1955 r. istniał zwyczaj, że celebrians wychodził w Niedzielę Palmową przed kościół, a bramę świątyni zamykał. Następnie kapłan uderzał w nią krzyżem trzykrotnie, wtedy dopiero brama otwierała się i kapłan z uczestnikami procesji wchodził do kościoła, aby odprawić mszę świętą. Symbol ten miał wzmocnić przypominanie, że zamknięte niebo zostało otwarte dzięki zasłudze krzyżowej śmierci Chrystusa.

Niedziela Palmowa to jeden z dwóch dni w roku w Kościele katolickim, kiedy czyta się lub śpiewa opis Męki Pańskiej. Odbywa się on bez świeczników i okadzania księgi. Czytający nie pozdrawia także ludu i nie robi znaków krzyża na księdze i na sobie.

JUŻ W SZKOLNYCH LATACH WIDZIELI W NIM KARDYNAŁA

W sobotę odbędzie się ingres do łódzkiej archikatedry kardynała Konrada Krajewskiego. Zostanie ósmym ordynariuszem diecezji i pierwszym rodowitym łodzianinem na tym stanowisku. Od dawna jest głośną postacią w Kościele, ale głównie za sprawą swoich niekonwencjonalnych przedsięwzięć w Watykanie, gdzie spędził wiele lat. Lubi zaskakiwać, pytanie tylko, czym zaskoczy wiernych w Łodzi i biskupów w Episkopacie Polski.

Anna Gronczewska

Kardynał Konrad Krajewski wraca do swego rodzinnego miasta po niemal 30 latach pracy w Watykanie. Był tam ceremoniarzem, a ostatnio jałmużnikiem papieskim. W 2013 roku otrzymał nominację biskupią, a pięć lat później kardynalską. Mimo że od lat nie mieszkał w Łodzi, nie ukrywał swej miłości do rodzinnego miasta. Internet obiegił filmik z łódzkiej pielgrzymki na Jasną Górę, gdzie kardynał śpiewał walczyk o Łodzi.

Czym innym zaskakiwał w Watykanie. Kiedy został jałmużnikiem papieskim, oddał swe mieszkanie w Watykanie uchodźcom z Syrii, a sam zamieszkał w biurze. Pojechał odwiedzić uchodźców na wyspę Lampedusę. Na audiencjach u papieża pojawiał się w towarzystwie bezdomnych. Jeździł z transportami humanitarnymi do ogarniętej wojną Ukrainy.

Chłopak z Marysina

Konrad Krajewski urodził się 25 listopada 1963 roku w Łodzi. Razem z rodzicami i starszym o dwa lata bratem Krzysztofem mieszkał przy ul. Centralnej. Zajmowali służbowe mieszkanie w Szkole Podstawowej nr 120 na łódzkim Marysinie. Konrad był jej uczniem.

- Państwo Krajewscy byli nauczycielami - wyjaśniał nam bliski znajomy kardynała z młodości lat. - O ile pamiętam, to potem mama Konrada zaczęła pracować na Politechnice Łódzkiej. Zajmowała się fotografią techniczną.

Po skończeniu szkoły podstawowej Konrad marzył, by tak jak jego brat, zacząć naukę w XII LO w Łodzi. Nie udało mu się. Powodem nie były jednak złe oceny.

- Mieliśmy tam chodzić razem - wspomina kolega kardynała. - Niestety, przed naborem do liceów wprowadzono rejoniczację. Ja dostałem się do „dwunastki”, bo byłem olimpijczykiem. Konrad musiał wybrać inne liceum.

Tą szkołą było nieistniejące już XXVIII LO im. Władysława Broniewskiego. Oprócz Konrada Krajewskiego jego absolwentami byli między innymi Tatiana Okupnik, aktor Bronisław Wrocławski czy aktorka Iwona Bielska. Nauczyciele bardzo dobrze jeszcze dziś wspominają ucznia Krajewskiego. Dobrze się uczył, nie sprawiał kłopotów. Niektórzy już wtedy dostrzegli jego wyjątkową osobowość. Nie było specjalnego zaskoczenia, gdy dowiedzieli się, że po maturze chce iść do łódzkiego Wyższego Seminarium Duchownego.

- Gdy usłyszał o tym jego wychowawca, nauczyciel chemii, to powiedział, że nie będzie to zwykła droga kościelna, widzi przed nim wielką przyszłość - wspominał jeden z licealnych kolegów kardynała Konrada Krajewskiego. - A nie był to człowiek związany z Kościołem, tylko rasowy pedagog, który potrafił dostrzec wiele rzeczy.

Kolega kardynała Konrada opowiadał, że już wtedy się wyróżniał.

- Nawet jako młody chłopak nie był tuzinkowym człowiekiem - zapewniał. - Konsekwentnie dążący do powierzonych mu celów lub ideałów, które sam sobie wyznaczył. Nie należał do ludzi, którzy mówili jedno, a robili co innego. Nie był zakłamanym. Maksymalnie skrupulatny w różnych sprawach. Jako nastolatki często dyskutowaliśmy. Nie zawsze mieliśmy jednakowe poglądy na różne sprawy, ale nie dochodziło z tego powodu do kłótni.

Odwiedzał Konrada w jego domu. Znał dobrze jego rodziców.

- Byli to młodzi ludzie, którzy wcześniej zostali rodzicami - wyjaśniał. - Ojciec był człowiekiem zasadniczym, trzymającym w domu dyscyplinę, a jednocześnie bardzo troskliwym, kontaktowym. Gdy odwiedzałem Konrada, to zawsze z nim miło rozmawiałem. Nie tworzył dystansu. Natomiast mama była ciepła, bardzo sympatyczna. Nie „trzęsła się” nad synami...



FOT. GRZEGORZ GALASINSKI
Po 30 latach w Watykanie kardynał Krajewski wraca do Łodzi

Starszy brat Krzysztof po maturze, którą zdał w XII LO, dostał się do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Po jej skończeniu otrzymał przydział do jednej z jednostek na Wybrzeżu. Ożenił się, urodziła się mu córka. Nadszedł 1989 rok.

- Pełnił służbę na jednym ze statków czy kutrów - mówi kolega Konrada Krajewskiego. - Zmarł nagle, podczas snu. Miał 29 lat.

Główny ceremoniarz

Konrad Krajewski był już wtedy księdzem. Świecenia kapłańskie przyjął 11 czerwca 1988 roku z rąk arcybiskupa Władysława Ziółka, ówczesnego ordynariusza diecezji łódzkiej.

Po święceniach kapłańskich ks. Konrad Krajewski był wikariuszem w parafii w Ruścu pod Bełchatowem i parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Łodzi. Potem został prefektem w łódzkim seminarium duchownym, a następnie wyjechał do Rzymu.

Ksiądz Piotr Turek, proboszcz parafii św. Anny, studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi na jednym roku z Konradem Krajew-

skim. Zapamiętał, że był bardzo uczynnym kolegą.

- Gdy przyszedł do seminarium, grał na gitarze, ale zaczął się uczyć gry na organach - wspomina ks. Turek. - Pod koniec seminarium już grał podczas mszy św. W seminarium został głównym ceremoniarzem.

Kardynał Krajewski mieszkał na terenie łódzkiej parafii Opatrzności Bożej. Był bardzo związany z ruchem oazowym. Kilkadziesiąt lat temu w jego parafii odbywały się rekolekcje ewangelizacyjne według pomysłu księdza Franciszka Blachnickiego, założyciela ruchu oazowego.

- Wiem, że te rekolekcje zrobiły na nim duże wrażenie - mówi kolega kardynała. - Kończył ósmą klasę, gdy zdecydował się pojechać na Oazę.

Kolega z parafii wspomina natomiast, że po powrocie z tych wakacyjnych rekolekcji oazowych bardzo zaangażował się w życie parafii.

- Razem z Jarkiem Kalińskim, rok starszym kolegą, który też uczył się w XXVIII LO i został księdzem, dziś jest proboszczem łódzkiej parafii katedralnej w Łodzi, bardzo zaangażo-

wali się w służbę liturgiczną - opowiadał kolega kardynała. - Byli lektorami. Konrad pięknie czytał Pismo Święte. Był świetnym ceremoniarzem. Angażował się w to całym sercem. Gdy po latach widziałem go jako ceremoniarza papieskiego, to przypominałem sobie tego Konrada z parafii Opatrzności Bożej, który też wszystko robił z ogromnym zaangażowaniem.

W 1993 roku zmarł tata kardynała. Mama umarła w pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych.

Zawsze pod prąd

Mimo że upłynęło wiele lat od wyjazdu ks. Krajewskiego z rodzinnego miasta, znajomi widzą w nim dalej Konrada z Łodzi. Choć on sam przyznawał, że zmienił swoje spojrzenie na kapłaństwo po śmierci Jana Pawła II.

- Napisał o tym w artykule w „L'Osservatore Romano” - przypomina kolega kardynała. - Przyznał, że jest uczniem Jana Pawła II. Konrad zawsze potrafił i potrafi iść pod prąd. Trzyma się tego, co słuszne.

Sam lubi zaskakiwać. Podczas jednej z wizyt w Łodzi odwiedził niespodziewanie dominikanów, którzy opiekują się łódzką parafią Podwyższenia Krzyża Świętego. Po mszy św. poszedł na Zielony Rynek, kupił paszтетową, bułki i chleb. Potem zjadł z dominikanami śniadanie.

Kiedy przyjechał do Krakowa na pogrzeb kardynała Mariana Jaworskiego, przyjaciela i spowiednika świętego Jana Pawła II, nie nocował w hotelu czy pokojach gościnnych krakowskiej kurii, a w przytulisku dla osób bezdomnych i ubogich prowadzonym przez braci albertynów. Zaapelował też do dostojników kościelnych, by w związku z pandemią oddali po jednej własnej pensji dla potrzebujących.

O księdzu z Łodzi było głośno, gdy wbrew prawu podłączył prąd ponad 400 bezdomnym, którzy mieszkali w opuszczonej kamienicy w centrum

Rzymu. Musiał złamać polityczne pieczęcie, które pojawiły się tam z powodu długu w wysokości 300 tys. euro za niezapłacone rachunki.

„Kardynał” z liceum

Znajomi kardynała twierdzą, że to właśnie formacja oazowa wywarła na niego wielki wpływ. Jest księdzem, człowiekiem, który żył i żyje Ewangelią. Znajomi już dawno mówili, że gdy wróci z Watykanu do Łodzi to tylko jako ordynariusz diecezji.

- Byłem przekonany, że zostanie biskupem, kardynałem - zapewnia jego kolega. - Kiedyś byliśmy razem na Oazie. Wtedy jedna z naszych koleżanek mówiła do niego żartem: ksiądz kardynał. A był dopiero po trzeciej klasie liceum.

Jak kardynał Krajewski zapisze swój nowy rozdział kościelnej kariery?

- Zналиśmy się jeszcze przed seminarium - mówi ks. Turek. - Wszyscy cieszymy się, że został ordynariuszem archidiecezji łódzkiej. Jest nasz, z Łodzi. Zna archidiecezję, księży. Wie jakie są potrzeby parafii, kapłanów, choć wiadomo, że po tak długim pobycie w Rzymie musi się wszystkiemu przyjrzeć, parafia nie jest równa parafii.

Tomasz Terlikowski, znany publicysta katolicki, twierdzi jednak, że tak naprawdę mało wiemy o kardynale Konradzie Krajewskim. Na przykład o jego poglądach.

- Niby wiemy o nim dużo, a tak naprawdę nic - wyjaśnia Tomasz Terlikowski.

Ksiądz kardynał przez wiele lat robił wszystko, by nie ujawniać swoich poglądów. Tomasz Terlikowski mówi, że na razie trudno powiedzieć, jakie będą rządy kardynała Krajewskiego w archidiecezji łódzkiej. - Niektórzy z moich znajomych księży z archidiecezji łódzkiej mają wątpliwości czy to będzie ten planowany zbawca Kościoła łódzkiego, ale zobaczymy jak będzie - dodaje Tomasz Terlikowski.

Obaj jesteście po sześćdziestce, więc nie sposób tej rozmowy nie zacząć od pytania: „Jak tam zdrowie, panie kolego?”

Dzięki Bogu dają radę. W tym wieku to jednak już zawsze coś dolega. Jestem po poważnym udarze, ale wróciłem do żywych. Nagrywam, występuję, potrafię zaśpiewać dwugodzinny koncert. Mówiąc po chrześcijańsku, grzechem byłoby więc narzekać.

Jak udało ci się wrócić do tak dobrej formy po tym udarze?

To złożona sprawa. Dostałem wylewu w Londynie i miałem szczęście, że trafiłem tam od razu do szpitala na oddział, który się specjalizuje w tego rodzaju przypadkach. Potem w Warszawie zostałem otoczony bardzo dobrą opieką świetnych lekarzy. Miałem też dużo samozaparcia w sobie. Kiedy mnie postawiono na nogi, musiałem się poddać intensywnej rehabilitacji. Ćwiczyłem codziennie w grupie pacjentów pod okiem dobrych fizjoterapeutów. Na koniec okazało się, że nasz basista Paweł „Nazim” Nazimek poznał fajną panią neurolog ze Śląska, która ma tam nowoczesne centrum rehabilitacji. I ona chętnie mnie przyjęła, bo jest fanką T.Love. Generalnie otrzymałem wiele ciepła od wielu ludzi i było to bardzo budujące.

Jak dzisiaj dbasz o zdrowie?

Jestem przede wszystkim regularnie monitorowany przez lekarzy. Do 55 czułem się właściwie nieśmiertelny. Nigdy nie byłem w szpitalu, bałem się lekarzy, nie robiłem sobie żadnych badań. Teraz to wygląda zupełnie inaczej. Śmieję się, że znam więcej lekarzy niż muzyków. Mam już swój rytm: tu neurolog, tu kardiolog, tu dietetyk, tu fizjoterapeuta. Codziennie mierzę sobie ciśnienie, bo ten udar był spowodowany nieleczonym przez lata nadciśnieniem. Mam w domu stacjonarny rower, więc sobie ćwiczę. Więcej spaceruję. Do tego odstawiłem wszelkie używki - jedynie czasem do kolacji jakieś małe wino. Musiałem więc sporo sobie przestawić w głowie.

Trudno ci było wrócić do nagrywania i koncertowania?

Najpierw w ogóle nie myślałem o żadnym graniu. Kiedy byłem w szpitalu w Londynie i spytano mnie, czego się najbardziej boję, wskazałem na drzwi od sali i powiedziałem: „Jest w Warszawie duży klub Stodoła, w którym gramy co roku dla dwóch tysięcy ludzi. Ale teraz gdyby mi ktoś powiedział, że za tymi drzwiami jest ta nasza widownia, to bym się skulił i ukrył na łóżku pod kołdrą.

Właśnie ukazała się nowa płyta rockowej grupy T.Love – „Orajt”. Frontman i lider zespołu Muniek Staszczuk opowiada nam o swym powrocie do śpiewania po wylewie, kłopotach z kolegami-muzykami, swoich poglądach na polską politykę i jak to dobrze jest być... dziadkiem

Paweł Gzyl



Muniek Staszczuk: Do 55 czułem się właściwie nieśmiertelny. Nigdy nie byłem w szpitalu, bałem się lekarzy, nie robiłem sobie żadnych badań. Teraz to wygląda zupełnie inaczej

MUNIEK STASZCZUK: MUSIAŁEM SOBIE SPORO PRZESTAWIĆ W GŁOWIE

W ogóle nie mogę o tym myśleć”. Po przenosinach do Warszawy, miałem z neuropsychologiem ćwiczenia na refleks i logikę. To mi bardzo pomogło. Doszedłem wtedy z moim nowym managementem do wniosku, że musimy skończyć moją solową płytę, którą zacząłem przed wylewem. Dostałem więc boombox ze słuchawkami i odsłuchiwałem wstępne wersje nagrań. Robiłem uwagi w zeszytach i mende-

dżer przekazywał je producentowi. W międzyczasie autoryzowałem wywiad-rzekę „King!”. Czułem się padnięty, jakbym tonę węgla przeniósł, ale zrobiłem to. Dlatego kiedy wyszedłem ze szpitala, było już ze mną nienajgorzej. Płyta się ukazała i została ciepło przyjęta, co bardzo mnie ucieszyło. Niestety: przyszła pandemia i psycha mi totalnie siadła. Dopadła mnie wtedy niespodziewanie padaczka podudarowa. Musiałem więc

znowu wrócić do szpitala. Nie poddałem się jednak. Pomyślałem, że zwaruję, jak będę tak siedział w domu. Wpadłem wtedy na pomysł, aby wrócić z T.Love. I tak też się stało. Skrzyknąłem skład i w 2022 roku nagraliśmy płytę „Hau, hau!”, która została świetnie przyjęta przez fanów i media.

Wszystko szło dobrze, aż tu nagle gruchnęła wiadomość, że rozstajesz się z dwoma

muzykami zespołu - najpierw z gitarzystą Jankiem Benedkiem, a potem z perkusistą Sidneyem Polakiem. Co się stało?

Mimo że to moja decyzja, była to dla mnie bolesna sytuacja. Jej przyczyny są złożone. Janek jest dobrym muzykiem, ale też dużym indywidualistą i ma wielkie ego. Dlatego powinien realizować się solowo lub mieć własny zespół. Ja jestem z punkowej epoki, T.Love trzyma się więc razem,

wszyscy traktujemy się tak samo, również pod względem finansów. Za koncerty zawsze dzielimy się po równo, tylko z płyt mam trochę więcej ze względu na staż. Tymczasem Janek okazał się fanem papierologii i zażądał podpisywania jakichś dokumentów. Naczytał się biografii słynnych rockowych zespołów i naciaskał na zaangażowanie prawników. Ja nie mówię, że to jest niepotrzebne, ale może naiwnie myślałem, że jak zespół tworzą faceci po 50., to tylko będą czerpali przyjemność z grania. Tymczasem on mówi: „To jest Europa, a nie Białoruś”. „Ale chyba musimy sobie ufać” - ja mu na to. Kiedy więc podsunął mi kolejny papier do podpisania, doszło między nami do spon-tanicznej kłótni w studiu. Wściekłem się i wyszedłem na zewnątrz. Ochłoniłem chwilę i napisałem mu SMS, że kończymy współpracę. Stwierdziłem, że najlepiej będzie w ten sposób załatwić sprawę, bo gdybym mu to powiedział w oczy, to mogłoby być różnie. Zresztą ja właśnie w ten sposób najczęściej komunikuję się z ludźmi.

A jak było z Sidneyem Polakiem?

Kiedy rozstałem się z Jankiem, na jego miejsce wskoczył Maciek „Majcher” Majchrzak. A on miał pewną niezłałatwioną sprawę z Polakiem. Kiedyś prowadzili razem salę prób dla zespołów. T.Love nawet grał tam przez kilka lat przed zawieszeniem działalności. Maciek włożył w tę salę spore pieniądze, a potem z tego co mówi, Polak, w niezbyt ładny sposób go wyeksmitował. Ani nie załatwił tego finansowo, ani nie przeprosił. Dlatego Maciek zgodził się dołączyć do T.Love, ale powiedział, że nie stanie z Polakiem na jednej scenie. Stwierdziłem więc, że jest źle. Dlatego po koncercie w Stodole powiedziałem Polakowi, że ma do końca listopada załatwić sprawę z Mackiem. Dałem mu do zrozumienia, że powinien się z nim rozliczyć, ale znając Macka, myślę, że wystarczyłoby, gdyby Polak zaprosił go na dobrą kolację z winem. Niestety: nie było odzewu. Maciek powiedział więc, że muszę zdecydować: albo on, albo Sidney. A że Polak przez lata odwał różne numery i musiałem mu kryć dupę przed zespołem, stwierdziłem, że wybieram Macka. Napisałem mu więc SMS, z którym on poleciał do mediów. W efekcie stałem się dla fanów despotą i dyktatorem, no bo jak można kumpla po 35 latach wywalić z kapeli. Cóż - ludzie nie wiedzą jak to jest być liderem i podejmować trudne decyzje. Rockowy zespół to czterech czy pięciu fa-

FOT. TMA/PRAS. UNIVERSAL MUSIC GROUP

cetów, wysoki poziom testosteronu, wszystko się ciągle kotłuje, każdy na każdego ma haki lub jakąś zadrę z przeszłości. Ktoś jednak musi podejmować decyzje, które wpływają na losy tego przedsiębiorstwa. U nas ja to robię – bo to przecież ja założyłem T.Love w 1982 roku.

Jak w takiej atmosferze nagraliście materiał na nową płytę – „Orajt”?

Kiedy pojawiły się te tarcia, próby przed koncertami przebiegały w ciężkiej atmosferze. W międzyczasie cały czas pracowałem nad nowymi piosenkami z naszym drugim gitarzystą – Jackiem „Perkozem” Perkowskiem. On mieszka w Podkowie Leśnej pod Warszawą, więc dojeżdżałem do niego kolejką WKD, bo nie mam uprawnień do jazdy autem po udarze. To było fajne, bo mogłem obserwować z bliska prawdziwe życie zwykłych ludzi. Nawet mnie to zainspirowało do tekstów. Perkoz po mnie wyjeżdżał na dworzec i jechałymiś do niego do chaty tworzyć piosenki. To była dla mnie zupełnie inna forma pracy niż dotychczas. Zazwyczaj chłopaki wymyślali muzykę na próbach, a potem ja dopisywałem w domu teksty. Tym razem było na odwrót. Teksty rozdziły się jako taki patchwork: tu fragment filmowego dialogu, tu cytaty z książki, tu coś z jakiegoś mądrego kazania w kościele. Wszystko to notowałem, tworzyłem wstępne zajawki i wysyłałem je Perkozowi, który kleił do nich muzykę.

Spodobała ci się taka forma pracy?

Poprzedni album zespołu „Hau, hau!” zrobiłem tylko z Jankiem. A on musi mieć wszystko dokładnie ułożone i dba, aby każda sylaba się zgadzała. Tu na tej płycie jest więcej lekko puszczonej muzyki i złamanych rymów. Po tym wylewie jestem trochę powolny, więc coś tam w domu składałem, przyjeżdżałem do Perkoza i śpiewałem. On ma małe studio, więc była domowa atmosfera. Herbatka na stole, pod nogami chodzi kot, Perkoz pół metra obok mnie, a ja nagrywam wokale po raz pierwszy w życiu na siedząco. A że jeszcze wtedy Jank był w zespole, myślałem, że poženimy te utwory Perkoza z jego numerami.

Chciałem, żeby też pozostali muzycy przynieśli swoje pomysły – i potem pracując w podgrupach z producentem, na którego wybrałem Emade, mieliśmy robić ich ostateczne wersje. Wszyscy się zgodzili z wyjątkiem Janka, który powiedział, że sam wyprodukuje swoje pio-

senki, bo to on wie, jak najlepiej to zrobić. Kiedy oznajmiłem mu, że nie ustąpię – stwierdził, że wycofuje swoje piosenki. To przelało czarę goryczy i ostatecznie zwolniłem go, a do zespołu wrócił Majcher. Na koncertach od razu pojawiła się fajna chemia, bo Perkoz lubi się z nim, a z Jankiem z sobą nie przepadali. Wtedy zorientowałem się, że mam aż 14 numerów zrobionych z Perkozem i da się z tego zbudować całą nową płytę. Może bardziej alternatywną, bez takiego hitu, jak „Pochodnia”, który napisał Janek przy „Hau, hau!”, ale nie zawsze musimy przecież walczyć o „złote kalesony”.

Większość albumu to nowoczesny rock and roll, ale jak zawsze w przypadku T.Love, zakorzeniony w The Rolling Stones czy The Clash. Co cię fascynuje w tych brzmieniach?

Perkoz jest zaj...tym gitarzystą i ma swój własny rasowy sound. Ale zupełnie inaczej podchodzi do komponowania. Jest bardziej artystowski, może trochę niechlujny. I bardzo mi to spasowało. Robiliśmy więc ten materiał na zdrowej i lekkiej wyjebce. Większość wokali nagrałem w domu Perkoza, w studiu tylko dokonałem kilku poprawek. Minął kwiecień i maj zeszłego roku – i płyta była gotowa. Dawno nie zrobiłem żadnego albumu tak bezwysiłkowo. Wszystko wyszło więc na fajnym luzie.

Jest też jednak na „Orajt” miejsce na popową nutę – choćby w „Mimo wszystko” z Sarsą. Skąd taki pomysł?

Kiedy myśleliśmy o pierwszym singlu, który dałby ludziom sygnał, że zespół nadal działa, stwierdziliśmy, że dobrze by było, gdyby udało się stworzyć coś bardziej mainstreamowego. I wtedy Perkoz wymyślił piosenkę, która skojarzyła mi się z francuską piosenką w stylu Serge’a Gainsbourg’a. Byłem wtedy akurat na wakacjach i on zasugerował, żebym coś napisał o tej Sycylii. Wykombinowaliśmy więc ten tekst wspólnie i kiedy wróciłem, stwierdziłem, że to musi być duet, bo zwracam się w tym tekście do kobiety. Zacząłem więc z managementem poszukiwać kogoś do zaśpiewania. Nie było to jednak proste. Pewnego razu, jadąc samo-

chodem, przelatywaliśmy przez te komercyjne radia i nagle zaciekawiła mnie barwa głosu wokalistki z jednej z piosenek. Okazało się, że to Sarsa. Ona jakoś kojarzyła mi się z obciachem, ale menedżer powiedział, że ostatnio zmieniła styl wykonywanej muzyki i to fajny alternatywny pop. Posłuchałem jej płyt i spodobało mi się, że nie udaje Mariah Carey czy Whitney Houston, tylko śpiewa po swojemu. Złożyliśmy więc jej propozycję, a ona bardzo się ucieszyła. Tak powstał utwór „Mimo wszystko”, który jednak nie spodobał się części fanów, bo uznali go za bardzo „cukierkowy”. Ale T.Love nie takie mury już burzył, mamy za sobą wiele duetów, więc jakoś specjalnie się tym nie przejąłem.

Mimo energetycznej muzyki, w tekstach kreślisz dosyć mroczną wizję współczesnego świata – choćby w tytułowym „Orajt” czy „Totto-lotto”.

W piosenkach T.Love czasem bywa tak, że lubię jechać na kontraście: muzyka wesoła, tekst mroczny. Nie jest to regułą, ale tak się zdarza. Tak jest i tutaj w kilku utworach. Pierwszy tekst powstał po tym, jak jechałem taksówką i taksjarsz mówi: „Panie, lepsze czasy to już były”. I sparafrazowałem to w „Orajt”. Ale wiadomo – powody są. Płyta była pisana już po tym, jak Putin zaczął swe piekielne poczynania w Ukrainie. No a teraz to już mamy piekło po dwóch stronach. Tutaj rosyjskie antychrysty, a tam świr, który śpi na dolarach i nie wiadomo komu służy.

Śpiewasz w „Orajt”: „W obliczu końca nic nie jest ważne już”. To, co dzieje się dziś na świecie, postrzegasz jako „czas Apokalipsy”?

Jesteśmy z tego samego pokolenia i nasz najlepszy czas przypaść na lata 90. Komuna się skończyła, ludzie zaczęli lepiej zarabiać, zakładali własne biznesy. Potem weszliśmy do Unii Europejskiej i otworzył się przed nami cały świat. Tak było i ze mną – wreszcie mogłem żyć z muzyki, kupiłem sobie mieszkanie, potem dom. Każdemu jakoś się wiodło. I nagle tapnęło: najpierw ten cholerny wirus, a potem wojna w Ukrainie. Teraz awantura na całego na Bliskim Wschodzie. Nic więc

dziwnego, że pojawił się lęk o jutro. Dlatego takie piosenki to nic innego, jak kolejna pocztówka T.Love ze współczesności.

Ostro rozprawiasz się tutaj też z polskimi politykami w utworze „Poseł RP”: „Polityka to show/ Dziś opera mydlana”. Jesteś rozczarowany rządami Koalicji Obywatelskiej?

Patrzę tutaj na całość polskiej polityki. Lubię oglądać te wszystkie dysputy polityczne w telewizji i widzę, że ich uczestnicy wszyscy świetnie się mają. Niby są swoimi oponentami, ale znają się dobrze ze sobą i piją razem wódkę. Ich zawodem jest kłócić się ze sobą – i robią to nieustannie w mediach. Zobaczyłem ostatnio, jakie są zarobki posłów do Parlamentu Europejskiego i faktycznie jest o co się bić. Z pensjami posłów na Sejm nie jest gorzej. Każdy z polityków reprezentuje swoją partię i wchodzi w swoją rolę – musi kłócić się z kolegą z innej partii. Mając tego świadomość, właściwie jest mi dzisiaj wszystko jedno kto będzie rządził, byleby szły do przodu dwie najważniejsze sprawy: gospodarka i bezpieczeństwo. Żeby był mądry minister obrony narodowej i sensownie wydawał pieniądze na zbrojenia. Trzeba się więc przyzwyczaić, że będą w Polsce dwie główne siły polityczne, jak Republikanie i Demokraci w USA czy torysi i labourzyści w Anglii. Raz będzie więc rządzić PiS, a raz PO, może co jakiś czas ktoś do nich dołączy. Dlatego daleki jestem od wszelkiego zacietrzewienia. Uważam, że raz ktoś mówi mądrze z prawej strony, a drugi raz z lewej. Nie mam czegoś takiego, że Konfederacja to jacyś faszyci. Bez przesady – to są głupie schematy. Trzeba przede wszystkim patrzeć merytorycznie. Na kogo zagłosuję w najbliższych wyborach – nie wiem, bo to jeszcze daleko. Akurat na PiS nigdy nie głosowałem, co nie znaczy, że nienawidzę Kaczyńskiego.

O prezydencie śpiewasz: „Ten na białym koniu nowy narodu sternik/ Te same głupoty i te same pierdoły”. Jak oceniasz poczynania Karola Nawrockiego?

Na pewno jest to postać kontrowersyjna. Co by nie powiedział o Kaczyńskim, to trzeba mu przyznać, że ma politycznego nosa. Najpierw wyjął Dudę z kapelusza, a potem Nawrockiego. Ja myślałem, że Rafał go pobije, bo teraz w polityce jest tendencja liberalnolewicowa, a jednak okazało się, że to Karolek pyknął. No i cóż: prezydent to prezydent i chcę czy nie to muszę go zaakceptować jako obywatela Polski. Przecież został demo-

kratycznie wybrany, a nie jak w Korei Północnej. Na razie Nawrocki ani mi ultra nie podpadł, ani ultra nie zapłusował. Obserwuję go. Na pewno trzeba mu przyznać, że się szybko wyrabia. Na początku myślałem, że to jakiś muł. „Co ten Kaczor wymyślił? Jakiegoś boksera od gangusów?” – pytałem się sam siebie. Tymczasem okazuje się, że Nawrocki wypowiada się poprawną polszczyzną, ma odpowiednią mowę ciała, dobrze się prezentuje. Nie mówię, że się w nim zakochałem, ale przyznam, że jestem zaskoczony tym, jak wypada podczas publicznych wystąpień. Na pewno nie ma we mnie do niego jakiejś nienawiści.

Jesienią zeszłego roku sam stałeś się ofiarą wojny polsko-polskiej, kiedy udzieliłeś wywiadu w TV Republika. Media rozpętały wokół tego istną burzę w internecie. Wkurzyło cię to?

Kiedyś wziąłem udział w spotkaniu w kościele na Mokotowie z młodzieżą ze szkoły muzycznej na Bednarskiej. Opowiadałem o jasnych i ciemnych stronach showbiznesu. Po wszystkim podeszła do mnie jakaś kobieta i mówi: „Panie Muńku, czy przyszedłby pan do programu mojej przyjaciółki Ani Popek w TV Republika porozmawiać o papieżu?”. „No nie wiem, ta stacja ma złą opinię. Ja akurat jej nie oglądam” – odparłem. „Ale to nie będzie polityczny program, tylko śniadaniówka. Powie pan tylko parę słów, że jest pan wierzący” – ona naciska. „No dobrze” – zgodziłem się w końcu. Poszedłem więc, faktycznie rozmowa nie była o polityce, program poszedł. Minął tydzień, a tu nagle o świcie dzwoni do mnie menedżer. „Czy ty wiesz co się dzieje?” – mówi. „Co takiego? Putin jest już pod Warszawą?” – pytam. A on to: „Zygmunt, coś ty narobił! Byłeś w TV Republika i cały internet o tym huczy! Onet, nie Onet, zobacz na reakcję fanów!”. Spojrzałem więc do internetu i przeraziłem się. Nigdy wcześniej taki hejt mnie nie dotknął. No ale faktycznie – obejrzałem potem tę Republikę i okazało się, że nie jest to telewizja na przyzwyczajonym poziomie, a do tego ultraprawicowy beton. „Nie powinno mnie tam być” – przyznałem. Pod kątem PR-u, był to więc strzał w kolano.

Najpierw afera wokół zwolnienia z zespołu znanych muzyków, potem hejt za występ w prawicowej telewizji. Mionna jesień i zima nie były więc dla ciebie łatwe pod względem psychicznym? Jestem stary byk i nie z jednego pieca chleb jadłem, ale

czegoś takiego nigdy nie doświadczyłem. Wcześniej oglądałem programy telewizyjne o młodych ludziach, którzy popełniają samobójstwa w wyniku internetowego hejtu i wydawało mi się to niewiarygodne. I nagle po tym wszystkim mówię do żony: „Wiesz co Marta, mam poważnego doła. Czuję się zaszczuty”. Bo ludzie wypisywali straszne rzeczy w rodzaju „Byłem twoim fanem. Słuchałem cię od liceum. Teraz nigdy więcej nie kupię twojej płyty” czy „Ty pisowska kur...o. Oddaję bilet na twój koncert”. Bardzo mnie to zabolowało. Może jednak dobrze się stało – bo zobaczyłem na czym polega ten hejt. Nasz basista Nazim powiedział mi niedawno: „Wydajemy tę nową płytę w złym momencie. Ale musimy to przetrwać”. I to prawda – w biografii zespołów przecież różnie bywało. Dołączył do nas nowy perkusista Olek Orłowski, są nowe piosenki, mamy więc świeżą energię.

Pociechą jest dla ciebie w takich trudnych chwilach poza muzyką na pewno rodzina. Od niedawna masz przecież wnuczkę Romę. Jak się czujesz w roli dziadka?

Super. Wcześniej mówił mi to Kazik czy moi kumple z Częstochowy: „Zobaczysz, zwariujesz”. I to prawda. Cóż – jak mówi stare porzekadło, wnuki są po to, żeby je rozpieszczą. Roma będzie miała 22 marca dwa latka, zaczyna już mówić, jest super dziewczynką. Moja córka wyszła za Włocha, więc mieszają się w niej te geny i na pewno będzie dwujęzyczna.

Twój tata zdążył doczekać narodzin prawnuczki?

Niestety, nie. Ale jest prababcia. Moja mama ma 86 lat i dobrze się trzyma.

Jest się więc z czego cieszyć.

Pewnie. Przede wszystkim z tego, że wróciłem do zdrowia i mogę dawać koncerty. Kiedyś sięgałem po różne używki, teraz skupiam się na tym, co mam zrobić na scenie i daję ludziom sto procent z siebie przez dwie godziny. A potem wracam do hotelu i zasypiam grzecznie przy dobrej książce. Do tego nagraliśmy nową płytę, trochę bardziej alternatywną, która przypomina mi naszego „Antydola”. Wiadomo – chcielibyśmy, żeby się jak najlepiej sprzedała, ale jak będzie, tak będzie. Tytuł tego albumu – czyli „Orajt”, jak ja to piszę do ludzi w SMS-ach – mówi: „Stary, trzymaj się! Liczy się tu i teraz! Bądź szczęśliwy mimo tego całego zła, które jest dookoła!”. To nasze pozytywne przesłanie na trudne czasy.

Za każdą budową i remontem stoi konkretny człowiek - ze swoją historią, która potrafi czasami zaskoczyć

W budownictwie liczy się efekt końcowy, ale przede wszystkim droga, którą trzeba do niego przejść. Za każdą realizacją i każdym remontem stoi konkretna firma, konkretny człowiek.

O budownictwie najczęściej mówimy właśnie przez efekt końcowy, bo widzimy nowy dom, wyremontowane mieszkanie, równe ściany, dobrze położoną podłogę, kafelki. Rzadziej myślimy o tym, co wydarzyło się wcześniej - o etapach, które poprzedzają moment oddania kluczy czy zakończenia prac. O decyzjach, które trzeba podjąć, czasami szybko i pod presją, bo wiele sytuacji trudno przewidzieć.

A jeszcze rzadziej myślimy o ludziach, którzy za tymi inwestycjami stoją. O fachowcach, dla których remont czy budowa to nie jednorazowe doświadczenie, ale codzienna praca, w której nie ma dwóch identycznych dni. Bo każda budowa, każdy remont to trochę inna historia, jak mówią uczestnicy plebiscytu Mistrzów Budownictwa 2026.

Za nami trzeci tydzień głosowania w tej akcji. Uczestniczą w niej zarówno firmy remontowo-budowlane oraz ich właściciele, jak również budowlanczy. Bo chcieliśmy ich docenić. Pokazać, że za każdą robotą stoi konkretny człowiek.

- W ramach plebiscytu Mistrzowie Budownictwa 2026

prosiłiśmy uczestników, by podzielili się z nami tym, co ważne, ciekawe, a czasem zupełnie zaskakujące w ich codziennej pracy. Tak było również w przypadku budowlanców. To dlatego zarówno w naszej gazecie, jak i na stronie internetowej znajdziecie opowieści fachowców, którzy zaprosili nas do swojego świata - mówi Katarzyna Borek, opiekująca się akcją od strony redakcyjnej.

Z tych opowieści wynika jedno: w tej branży wszystko dzieje się w warunkach często dalekich od idealnych. To praca fizyczna, wymagająca, uzależniona od pogody, terminów, dostępności materiałów i tego, co zostanie się na miejscu. Czasem coś trzeba poprawić, cza-

sem zmienić plan, a czasem podjąć decyzję, która będzie miała konsekwencje na lata. To zawód, w którym wiedza techniczna to jedno, ale równie ważne są doświadczenie, odpowiedzialność i umiejętność radzenia sobie w sytuacjach, których nie przewidziano w projekcie. To także praca z ludźmi. Jak podkreśla redaktorka: - Właśnie dlatego w ramach Mistrzów Budownictwa chcieliśmy pokazać tę branżę trochę inaczej. Nie tylko przez pryzmat realizacji czy gotowych efektów, ale także przez ludzi i ich doświadczenia. Przez to, co dzieje się „po drodze”. Te opowieści są różne, jak różne są firmy, budowy i ludzie, którzy na nich pracują.



MISTRZOWIE BUDOWNICTWA

Ponad 20 lat doświadczenia zdobywanego na budowach



Piotr Pasek
Piotr Pasek - Usługi Budowlane, Branica Radzyńska

Piotr Pasek od lat konsekwentnie buduje swoją pozycję w branży w oparciu o solidność, doświadczenie i uczciwe podejście do klienta.

Przedsiębiorstwo, które prowadzi Piotr Pasek specjalizuje się w kompleksowej realizacji inwestycji budowlanych - od fundamentów aż po stan surowy otwarty. W zakresie usług wchodzi budowa domów jednorodzinnych, bloków mieszkalnych, biurowców, hal przemysłowych oraz różnego rodzaju budynków gospodarczych. Każdy projekt traktowany jest indywidualnie, z dbałością o każdy detal i najwyższą jakość wykonania na wszystkich etapach realizacji.

Ponad 20 lat doświadczenia zdobywanego na budo-

wach, w tym 14 lat prowadzenia własnej działalności, pozwoliło Mu zbudować firmę, która łączy praktyczną wiedzę z nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi. Dzięki temu realizacje są nie tylko estetyczne, ale przede wszystkim trwałe i bezpieczne.

Dla zespołu najważniejsze jest tworzenie solidnych fundamentów - nie tylko pod budynki, ale także pod długofalowe relacje z klientami. To właśnie jakość, konsekwencja i dbałość o szczegóły budują renomę firmy oraz satysfakcję tych, którzy powierzyli jej realizację swoich inwestycji. Kluczowe znaczenie ma tu terminowość, rzetelność oraz partnerskie podejście do inwestora, które przekłada się na zaufanie i liczne polecenia.

Rozwiązania dopracowane w każdym calu



Mateusz Kania
Fach-Mat, Łuków

Mateusz Kania, właściciel firmy Fach-Mat z Łukowa, swoją działalność buduje w oparciu o jakość, precyzję i kompleksowe podejście do realizacji.

Jako szef firmy remontowo-budowlanej doskonale rozumie, jak ważne dla klientów jest nie tylko samo wykonanie prac, ale również cały proces - od pierwszych ustaleń po finalny efekt, który ma być trwały, funkcjonalny i estetyczny. Fach-Mat specjalizuje się w kompleksowych remontach oraz wykończeniach wnętrz, realizując zarówno mniejsze prace modernizacyjne, jak i pełne wykończenia mieszkań, domów oraz lokali użytkowych. Każdy projekt traktowany jest indywidualnie, z uwzględnieniem potrzeb i oczekiwań inwestora, co

pozwała tworzyć przestrzenie dopasowane do stylu życia i wymagań klientów. Zakres usług obejmuje m.in. remonty mieszkań i domów „pod klucz”, wykończenia wnętrz w stanie deweloperskim, prace malarskie i szpachlerskie, układanie paneli, parkietów i płytek, a także montaż sufitów podwieszanych i zabudów z płyt GK. Firma realizuje również instalacje hydrauliczne i elektryczne oraz montaż drzwi i elementów stolarki, zapewniając kompleksową obsługę inwestycji. W pracy Mateusza Kania kluczowe znaczenie mają solidność, terminowość oraz dbałość o detale. Wykorzystanie sprawdzonych materiałów i nowoczesnych rozwiązań technologicznych przekłada się na trwałość i wysoką jakość realizacji.

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista uczestników plebiscytu, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z miast i powiatów oraz lista liderów głosowania w kategoriach wojewódzkich.

HYDRAULIK ROKU

1. **Arkadiusz Lewczyk**, Fair-Hydro, Lublin
2. **Michał Kania**, Mobilny Fachowiec Złota Rączka, Chełm
3. **Piotr Bednarczyk**, Usługi Hydrauliczne Piotr Bednarczyk, Brzeście

ELEKTRYK ROKU

1. **Mariusz Kuryłowski**, Twój Elektryk Janowiec, Janowiec
2. **Przemysław Ligeza**, Instalacje Elektryczne i Techniczne, Lubartów
3. **Patryk Kraczkowski**, PGK Żaba Patryk Kraczkowski, Czuczycze

BUDOWLANIEC ROKU

1. **Piotr Pasek**, Piotr Pasek - Usługi Budowlane, Branica Radzyńska
2. **Paweł Makaruk**, Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych UNIMA, Lublin
3. **Paweł Szymaniuk**, Paweł Szymaniuk Dach System, Biała Podlaska

PROJEKTANT/ARCHITEKT ROKU

1. **Karina Sternik**, M.T Studio Design, Lublin
2. **Justyna Banaszak**, Pracownia projektowa Plan B, Chełm
3. **Ewelina Tomaszewska**, EWMA Architekci, Lublin

GEODETA ROKU

1. **Dariusz Pata**, Goplana Dariusz Pata, Tomaszów Lubelski
2. **Ewelina Mazur**, Geodezja Ewelina Mazur, Zamość
3. **Paweł Klimkiewicz**, Geodeta Paweł Klimkiewicz Geowise, Lublin

STOLARZ ROKU

1. **Mariusz Ptasieński**, Łęczna
2. **Andrzej Matwiejczuk**, Andrzej Matwiejczuk, Lublin
3. **Rafał Zielonka**, Rafał Zielonka Zielonka Meble Świdnik, Świdnik

SZEF FIRMY REMONTOWO-BUDOWLANEJ ROKU

1. **Tomasz Feldman**, Zeb-Bud Tomasz Feldman, Markuszów
2. **Mateusz Kania**, Fach-Mat, Łuków
3. **Piotr Koper**, Fach-Top Piotr Koper, Stary Bidaczów

FIRMA REMONTOWO-BUDOWLANA ROKU

1. **Ozon Home Design**, Pawłów, Leśna 41
2. **Piotr Pasek - Usługi Budowlane**, Branica Radzyńska, Branica Radzyńska 27B
3. **Przedsiębiorstwo Robót Budowlanych UNIMA**, Lublin

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.kurierlubelski.pl/mistrzowie-budownictwa

pod PARAGRAFEM

W ŚRODKU

Imć Longinus Podbięta, ścinacz pogańskich głów, miał swój pierwowzór, ale... z XIX wieku
- str. 24

Pośmiertne losy św. Jakuba Starszego to temat na powieść sensacyjną z elementami makabry
- str. 25

ZA TYDZIEŃ

Kim naprawdę był Jan vel Franciszek Lange? Doliczono się przynajmniej 70 jego narzeczonych i trzy żony, a bezradna policja próbowała przypisać mu wiele niewyjaśnionych zbrodni.



KRÓTKO

W KSIĘGARNIACH

Reymont i trumienna zagadka

Do księgarń trafił właśnie „Upiór” Macieja Siembiedy (wyd. Agora). Mamy początek XX w., a Władysława Reymonta, pisarza i zarazem spirytystę, dręczy obsesja - paniczny lęk przed pogrzebaniem żywcem. Ponad sto lat później ekskluzywny Dom Pogrzebowy Kopyczyńskich staje się ofiarą ponurego skandalu: w trumnie, w której powinny spoczywać zwłoki znanego polityka, znajduje się zupełnie inne ciało...
Is

W KINACH

Brazylia, dyktatura, śmierć

Od dziś w kinach „Tajny agent”. Koprodukcję Brazylii, Francji, Niemiec i Holandii wyreżyserował Kleber Mendonça Filho. Mamy lata 70., Brazylię w żelaznym uścisku wojskowej dyktatury. Wybitny naukowiec Marcelo (Wagner Moura) powraca do rodzinnego Recife, by zabrać swojego syna w bezpieczne miejsce. Zanurzone w słońcu miasto jest na granicy szaleństwa: w karnawale giną ludzie, gdzieś na plaży znaleziono rekina z ludzką nogą w brzuchu, do miasta przybywa dwóch zabójców...
bb

ROZCZNICA

Pamiętajcie o Chandlerze

Dzisiaj rocznica śmierci Raymonda Thorntona Chandlera (urodził się 23 lipca 1888 r. w Chicago, zmarł 26 marca 1959 r. w La Jolla) - autora opowiadań i powieści kryminalnych, jednego z twórców czarnego kryminału. Jego książki każdy fan noir może wymienić obudzony w nocy: „Głęboki sen” (1939); „Żegnaj, laleczko” (1940); „Wysokie okno” (1942); „Tajemnica jeziora” (1943); „Siostrzyczka” (1949); „Długie pożegnanie” (1954); „Playback” (1958) i nieukończone „Tajemnice Poodle Springs” (1959).
mg

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-histeryczny, nr 199. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski. Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

Czerwony sojusz: jak stalinowscy prokuratorzy wspierali bezpieczeńkę



Warszawa, 9 października 1948 r. Uroczysta akademія w klubie MBP przy al. Wyzwolenia z okazji czwartej rocznicy istnienia MO. W prezydium m.in. gen. Stanisław Radkiewicz, gen. Franciszek Jóźwiak, gen. Piotr Jaroszewicz i gen. Konrad Świetlik

Dariusz Burczyk
redakcja@polskatimes.pl

Wprowadzenie w Polsce po 1944 roku tzw. władzy ludowej nie byłoby możliwe bez zaprzęgnięcia w służbę nowego reżimu sądownictwa oraz prokuratury.

W 1956 roku ówczesny minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski stwierdził, że działające w Polsce w latach 1946-1955 wojskowe prokuratury rejonowe spełniały rolę „tuby bezpieczeństwa”. Po wodem, dla którego użył on takiego sformułowania, był fakt, że te specjalne organy ścigania Polski „ludowej” nie

tylko ściśle współpracowały z terenowymi jednostkami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ulegając im w większości kwestii, ale także broniły i wzmacniały argumenty wysuwane przez nie na przykład w konfrontacji z sądami.

„W stalinowskiej rzeczywistości prokuratury i sądy, zamiast nadzorować i kontrolować organa śledcze, z zasady uznawały ich wyższość wynikającą z faktu, że jako stworzone i podporządkowane partii komunistycznej stanowiły niejako jej strukturę wykonawczą, wypełniając zadania zlecone im w związku z budową oraz umocnieniem »władzy lu-

dowej« w Polsce” - pisał Krzysztof Szwagrzyk.

Rodzi się struktura

Aby zachować pozory praworządności, przedstawiciele „władzy ludowej” powołać mieli organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości, które zalegalizowałyby ich bezprawne działania w stosunku do osób próbujących przeciwstawić się wprowadzeniu w Polsce reżimu komunistycznego. W lipcu 1946 r. wiceminister sprawiedliwości Leon Chajna na kongresie Stronnictwa Demokratycznego stwierdził: „Podobnie jak w sądownictwie powszechnym dochodzenie, sądenie i wykonywanie kar

w stosunku do przestępców kryminalnych stanowi właściwość organów powszechnego wymiaru sprawiedliwości podległych ministrowi sprawiedliwości, tak też dochodzenie, sądenie i wykonywanie kar w stosunku do przestępców politycznych winno należeć do specjalnych organów dochodzeniowych, prokuratur i sądów związanych administracyjnie z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego”.

Realizując swoje wcześniejsze zapowiedzi, 20 stycznia 1946 roku komuniści powołali w Polsce wojskowe prokuratury i sądy rejonowe. Ich właściwości rzeczowej poddano czyni dopełnione przez funk-

cjonariuszy urzędów bezpieczeństwa publicznego i Milicji Obywatelskiej, żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Wojsk Ochrony Pogranicza oraz tzw. zbrodnie stanu, czyli czyny skierowane przeciwko panującemu wówczas w Polsce ustrojowi komunistycznemu. Siedziby poszczególnych wojskowych prokuratur rejonowych mieściły się w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Kielcach, Lublinie, Rzeszowie, Białymstoku i we Wrocławiu, Olsztynie, Gdańsku, Bydgoszczy, Szczecinie, Poznaniu, Katowicach i Wrocławiu.

Ciąg dalszy na str. 24

Mariusz
Grabowski

PAN SPIRYDION JAKO LONGINUS PODBIPIĘTA

Henryk Sienkiewicz, choć genialny, szukał dla bohaterów „Trylogii” w miarę pasujących pierwowzorów. Tak było z Kmicicem, Skrzetuskim, Wołodyjowskim, a także z Podbipiętą. Pan Longinus herbu Zerwikap-tur z Myszykiszek, który za jednym machnięciem ściął trzy pogańskie głowy, zrodził się z postaci Spirydiona Ostaszewskiego herbu Ostoja (1798-1875) - Podolaka, legendarnego hippologa, zbieracza podań i legend ludowych i powstańca listopadowego.

„Wąs zawieszisty”

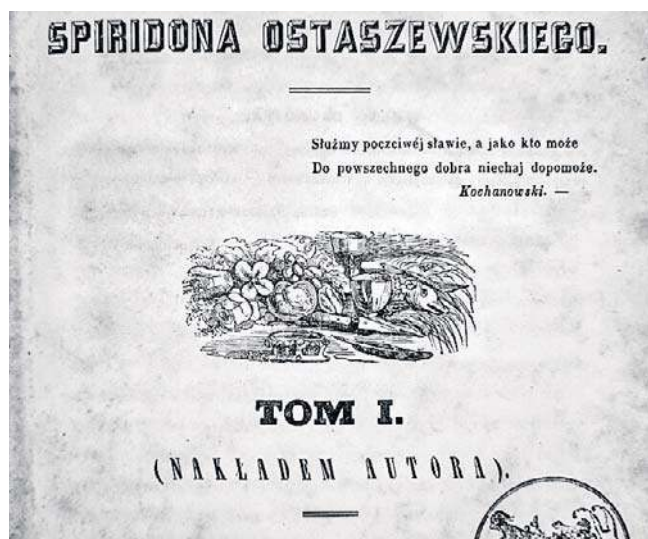
Postać Ostaszewskiego podsunęła Sienkiewiczowi lektura popularnych swego czasu memuarów Franciszka Kowalskiego. Można było w nich wyczytać, że Ostaszewski „był znany z nadzwyczajnej siły i szatańskiej odwagi. Średniego wzrostu, o szerokich barkach, atletycznej budowy ciała, włosy miał jasne, czoło szerokie, oczy błękitne, twarz rumianą, wąs zawieszisty, wejrzenie łagodne, w którym malowała się jednak pewność siebie, głos tak potężny, że go w największym hałasie można było wyraźnie usłyszeć”.

Panu Henrykowi taki typ zapewne natychmiast przypadł do gustu. „(Ostaszewski) należał do rzędu dawnych szlacheckorycerskich typów, do rzędu niezwykłych postaci, jakie tylko Polska wydawać mogła” - pisała o nim w 1875 roku „Gazeta Narodowa”. „Olbrzymiej budowy, (...) ze strasznie wejrzeniem prawdziwego rycerza, który nie zna niebezpieczeństwa i gardzi śmiercią, postrachem był nieprzyjaciół. Gdzie się zjawił na dzielnym koniu, pusto się robiło dokoła. Rąbał na prawo, na lewo. Pękały lance, szable nieprzyjacielskie, spadały głowy...”.

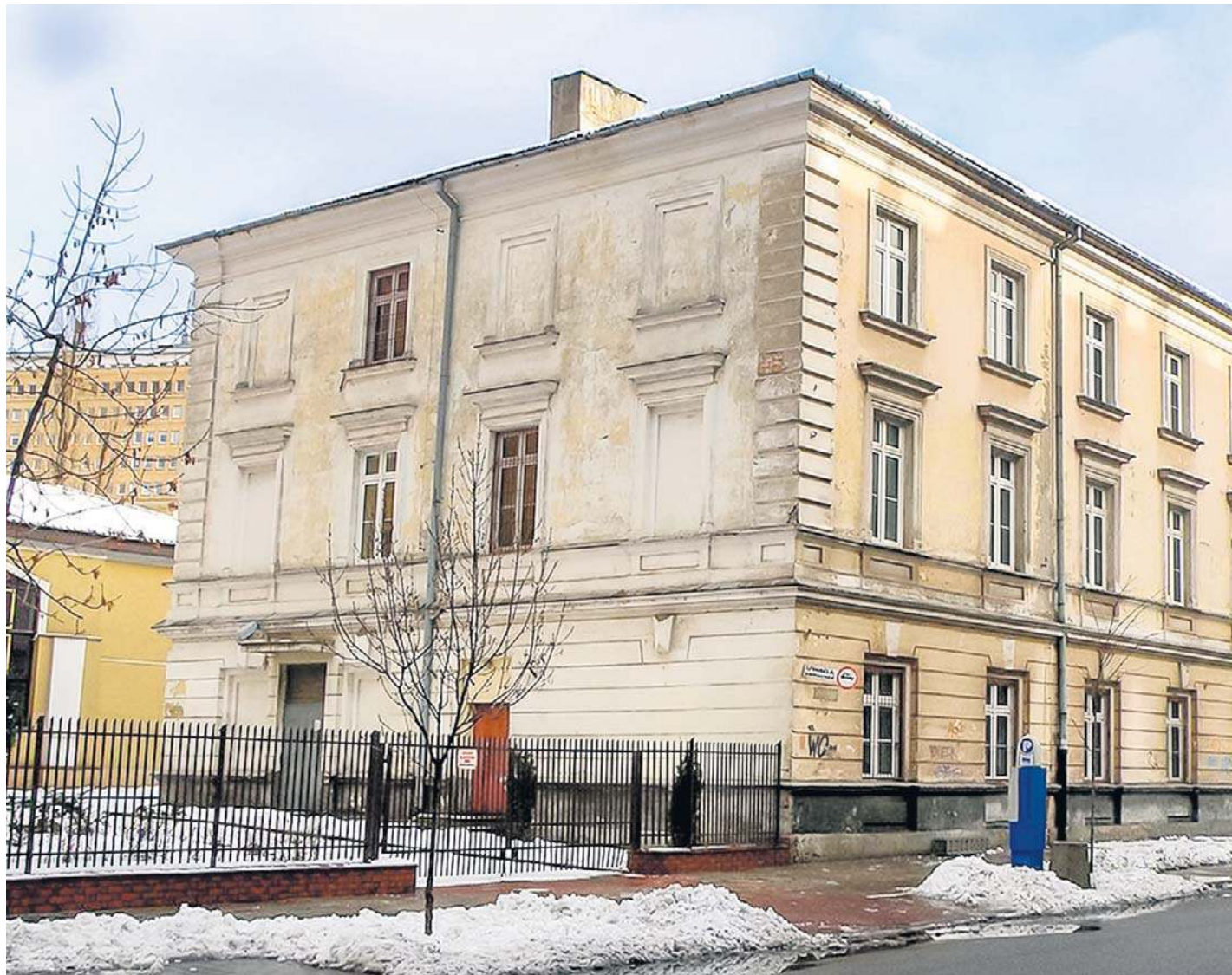
„Miłośnik koni”

Pasją Ostaszewskiego było zbieranie ludowych bajek, pieśni, podań i legend. Poświęcił się też badaniom języka i zwyczajów ludności wiejskiej Podola i Ukrainy. Ale najbardziej, jak na ułana przystało, lubił wierzchowce, czym zyskał miano „Namiętnego lubownika koni”. Stał się właścicielem jednej z największych na Ukrainie stadnin i zaliczał się do wysokiej klasy znawców hodowli tych zwierząt.

Pisał o ich hodowli m.in. na łamach „Tygodnika Petersburskiego”. Ogłosił też dwutomową pracę „Miłośnik koni”, popularny podręcznik dla hodowców „O koniu” oraz „Wiadomość o stadach Wołynia, Ukrainy, Pobereża i Podola”. Pozostawił też kilka obszernych prac w rękopisie, choćby „Lekcja koni przez obywatela Ukrainy” czy „Uwagi nad rozprawą Eberharda o koniach i stadach Ukrainy, Podola i Wołynia”.



„Miłośnik koni” (Kijów, 1852 rok) zawierał informacje na temat ras koni, ich hodowli, podkuwania i kuźni



KAŻDA WŁADZA TOTALITARNA OPIERA SIĘ NA APARACIE REPRESJI

Czerwony sojusz: jak usłużni prokuratorzy wspierali bezpieczeńkę

Ciąg dalszy ze str. 23

Decyduje MBP

W 1950 r., w związku ze zmianą podziału administracyjnego kraju, powołano trzy nowe wojskowe prokuratury rejonowe z siedzibami w Koszalinie, Opolu i Zielonej Górze oraz zmieniono zakres właściwości miejscowej dotychczas istniejących. Łącznie w latach 1946-1955 działało w kraju siedemnaście wojskowych prokuratur rejonowych.

Pomiędzy bezpieczeńką a organami prokuratorskimi istniała ścisła współpraca, wykraczająca daleko poza postanowienia pragmatyki służbowej. W trakcie postępowań karnych prowadzonych przeciwko prawdziwym i fałszywym przeciwnikom „władzy ludowej” prokuratura wojskowa występowała z reguły nie w imię prawdy ma-

terialnej, ale w obronie racji aparatu bezpieczeństwa.

Nadzór prokuratora wojskowego nad śledztwami prowadzonymi przez bezpieczeńkę był czysto formalny. To funkcjonariusze MBP decydowali, komu i jakie zarzuty postawić, gdzie i kiedy danego człowieka aresztować, natomiast prokurator jedynie podpisywał formalną zgodę (bardzo często na drukach in blanco). Funkcjonariusze MBP sporządzali także akty oskarżenia, które prokurator jedynie zatwierdzał, nie zagłębiając się w dostarczone przez bezpieczeńkę materiały.

„Edziu, jak to jest”

Jednym z przykładów takiej wzorowej współpracy była nadzorowana przez WPR w Olsztynie sprawa Kazimierza Ziarnka, który zeznając przed wiceprokuratorem Naczelnej Prokuratury

Wojskowej mjr. Henrykiem Justmanem, badającym sprawę nieprawidłowości, do których doszło w trakcie śledztwa w tej sprawie (notabene nadzorowanego przez byłego podprokuratora WPR w Gdańsku, por. Czesława Lesiewicza), opisał ją w następujący sposób: „Prokurator początkowo pytał mnie o nazwisko, urodzenie itd. i dyktował do protokołu, a potem przesłuchiwał mnie na sprawę (Kazimierzowi Ziarnkowi i jego kolegdzie zarzucano, że w 1952 r. przy pomocy znalezionej przypadkiem broni dokonali napadu na kasjera Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Laskach Wielkich w powiecie ełckim - D.B.). Gdy doszło do tego, skąd mieliśmy pistolet, zacząłem zeznawać jak było, to jest, że pistolet znalazłem z Sokołem w gruzach koło Nowego Dworu (Gdańskiego). Śledczy zaczął się

wtedy denerwować i pokazywał prokuratorowi jakieś zapiski, mówiąc: »Ty nie słuchaj go, bo tu jest tak napisane«. Prokurator powiedział wtedy do mnie, że wie, że ja jestem »dobry ptaszek« i zaczął dyktować maszynistce, tak jak mu podsunął śledczy na kartce, to znaczy, że my broń przywieźliśmy od Sokoła Szymona, zapytywał przy tym śledczego: »Edziu, jak to jest«. Śledczy powiedział wtedy, że tak jak ma zapisane. Ja, widząc taką sytuację, straciłem zaufanie w to, że mogę przed tym prokuratorem zeznać tak, jak było w rzeczywistości, że widocznie są oni »ręka w rękę« i dlatego, gdy protokół został skończony, nic już nie mówiłem więcej i protokół podpisałem”.

Plk Światło demaskuje

Złowroga rola prokuratorów wojskowych prokurator rejon-



Warszawa, Koszykowa 82. Tu w latach 1946-1950 był tu Wojskowy Sąd Rejonowy. Wydano 878 wyroków, 328 wykonano

nowych uwidoczniła się zwłaszcza podczas pokazowych rozpraw, w trakcie których nie tylko powtarzali oni, najczęściej nieprawdziwe, zarzuty wysuwane przez funkcjonariuszy UBP wobec osób oskarżonych w tych sprawach, ale dodatkowo „ubierali” je w specyficzny język propagandy komunistycznej. W 1954 r. w audycjach na falach Radia Wolna Europa były już wicedyrektor Departamentu X MBP płk Józef Światło stwierdził, że rozprawy pokiruszy aparatu, prokuratorów oraz sędziów uwieńczeniem „długich wysiłków, trwających często wiele lat”. Z kolei dla uczestników procesu, oskarżonych i świadków, były one „publicznym pokazem ponurego widowiska, przygotowanego uprzednio w najdrobniejszych szczegó-
łach”.

Jedną z takich rozpraw, podczas której szczególny „talent” krasomówczy ujawnił prokurator WPR w Gdańsku kpt. Andrzej Wójtowicz, odbyła się w dniach 18 listopada - 1 grudnia 1948 r. w Sztumie. W charakterze oskarżonych wystąpili w niej: Ottomar Zielke, Józef Preuss, Florian Meller i Antoni Kuraszkiewicz.

Zarzucono im, że jako administratorzy i pracownicy majątków rolnych w Zielenicach, Wątkowicach i Czerninie w powiecie sztumskim dopuścili się „szkodnictwa gospodarczego”, czyli w wyniku rzekomego złego gospodarowania wspomnianymi

majątkami mieli oni narazić Skarb Państwa na znaczne straty.

Komentarz radiowy

Wygłoszonemu ostatniego dnia rozprawy przemówieniu prokuratora Wójtowicza przysłuchiwała się licznie zebrana publiczność (według sprawozdań WPR w Gdańsku było to nawet 2 tys. osób). Zostało ono również nagrane przez pracowników Polskiego Radia, a jego fragmenty, wraz z „komentarzami spikera”, zostały wyemitowane przez gdańską rozgłośnię Polskiego Radia 2 grudnia 1948 r. o godz. 19 w specjalnej audycji.

W rzeczywistości podczas tej rozprawy nie chodziło o nadużycia, jakich rzekomo dopuścili się oskarżeni, ale o to, że w maju 1946 r. w majątku w Czerninie przebywał na kuracji, ranny w potyczce z oddziałami MO i UBP, ppor. Zdzisław Badocha, ps. Żelazny, jeden z dowódców oddziałów wchodzących w skład 5. Wileńskiej Brygady AK. Dwa wyroki śmierci dla Ottomara Zielkego i Józefa Pressa, które zostały ogłoszone w tej sprawie 4 grudnia 1948 r. przez WSR w Gdańsku, w składzie którego znalazł się m.in. sędzia kpt. Kazimierz Jankowski (ojciec znanej aktorki Jadwigi Jankowskiej-Cieślak), miały stanowić wyrazną przestrożę dla wszystkich tych, którzy chcieliby w przyszłości pomagać żołnierzom podziemia niepodległościowego.

3916 w Gdańsku

W tym miejscu należy wspomnieć, że wszelkie nieśmiałe próby orzekania wyroków niezgodnych z oczekiwaniami aparatu bezpieczeństwa przez sędziów wojskowych, których rola w zniewoleniu polskiego społeczeństwa również była ogromna, kończyły się zazwyczaj niepowodzeniem. W sprawozdaniach WPR w Gdańsku sędziów WSR w Gdańsku, którzy postępowali niezgodnie z wolą gdańskiego WUBP i wspierających ich prokuratorów wojskowych, nazywano „czarną reakcją”. W przypadku zbyt łagodnego wyrokowania w sprawach, w których bezpieka oczekiwała surowych wyroków, prokuratorzy lub funkcjonariusze UBP potrafili doprowadzić do zwolnienia lub aresztowania sędziego, który próbował być zbyt niezależny w swojej działalności orzeczniczej.

W trakcie 9-letniej działalności prokuratorzy WPR w Gdańsku oskarżyli łącznie 6752 osoby (największą liczbę oskarżonych

dów wojskowych. Ponieważ większość śledztw w sprawach rozpatrywanych dotąd przez wojskowe sądy rejonowe przeszła zgodnie z ustawą do sądownictwa powszechnego, dalsze istnienie wojskowych prokuratur rejonowych stało się niepotrzebne i podjęto decyzję o ich likwidacji.

Np. Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Gdańsku została zlikwidowana 2 lipca 1955 r., jednak dla większości pracujących w tych instytucjach osób koniec ich działalności nie oznaczał bynajmniej końca kariery. „Władzy ludowej” żal było tracić tak świetnie „wyszkolonych” (w zakresie ścisłego wypełniania jej poleceń) prawników, w związku z czym sporej części z nich znalaziono nowe miejsca pracy w sądach i prokuraturach wojskowych oraz powszechnych, gdzie nadal zajmowali się sprawami politycznymi. Kilku z byłych oficerów śledczych i prokuratorów WPR w Gdańsku było czynnych zawodowo do lat 90. XX w., niezadko zajmując w aparacie pań-

STALINOWSKI APARAT REPRESJI SŁUŻYŁ DO ELIMINOWANIA PRZECIWNİKÓW POLITYCZNYCH ORAZ PODPORZĄDKOWYWANIA SPOŁECZEŃSTWA WŁADZY

odnotowano w 1947 r. - 1219 osób, co było związane z terrorem, jaki „władza ludowa” wprowadziła przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego). Z tej grupy tylko WSR w Gdańsku skazał 3916 osób. Wśród oskarżonych znalazło się także 3991 osób, którym zarzucano popełnienie czynów uznawanych we współczesnej literaturze przedmiotu za przestępstwa o charakterze politycznym. Należały do nich m.in. nielegalne posiadanie broni, współpraca lub przynależność do organizacji niepodległościowych czy głoszenie hańs i poglądów antykomunistycznych, czyli tzw. szeptana propaganda. Spośród osób oskarżonych o przestępstwa polityczne sędziowie WSR w Gdańsku skazali 1981 osób, za co z pewnością dużą odpowiedzialność ponoszą prokuratorzy gdańskiej prokuratury wojskowej domagający się surowych wyroków dla przeciwników ich komunistycznych mocodawców.

SB wraz z MO

W dniu 5 kwietnia 1955 r. Sejm PRL uchwalił Ustawę o przekazaniu sądom powszechnym dotychczasowej właściwości sądów wojskowych w sprawach karnych osób cywilnych, funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa publicznego, Milicji Obywatelskiej i Służby Więziennej. Tym samym dokonano rozszerzenia zakresu i kompetencji tych sądów kosztem są-

stwowym kierownicze i eksploatowane stanowiska.

Ochrona władzy

Były podprokurator WPR w Gdańsku Zdzisław Sznycer w latach 1985-1990 był prokuratorem wojewódzkim w Gdańsku, a były już oficer śledczy gdańskiej WPR Marian Dzieszkowski wojskowym prokuratorem garnizonowym w Elblągu. Podsumowując działalność WPR w Gdańsku należy stwierdzić, że podstawowym zadaniem, jakie ta instytucja spełniała na terenie województwa gdańskiego w latach 1946-1955, była ochrona „władzy ludowej” oraz likwidacja opozycji antykomunistycznej.

W ciągu dziewięciu lat funkcjonowania pracujący w niej prokuratorzy i oficerowie śledczy doprowadzili do skazania na karę śmierci 65 osób (33 wyroki zostały wykonane), wśród których większość stanowiły osoby próbujące przeciwstawić się wprowadzeniu w Polsce reżimu komunistycznego.

W związku z tym ocena jej działalności musi być jednoznacznie negatywna. Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Gdańsku oraz inne specjalne sądy i prokuratury wojskowe prowadzone zostały do ściśle przewidzianych dla nich w systemie totalitarnym funkcji - bezwolnych narzędzi mających jedynie zalegalizować bezprawne metody stosowane przez komunistów w walce o władzę w kraju.

KARTKA Z KALENDARZA/PITAWAL BIBLIJNY



Jakub Starszy jest patronem Hiszpanii i Portugalii oraz walk z islamem, zakonów rycerskich, a także pielgrzymów

O translukacji ciała św. Jakuba Starszego apostoła

Ks. prof. Marek Starowieyski twierdzi, że zgodnie z „Dziejami Apostolskimi” św. Jakub, ewangelizator Judei i Samarii, zginął ok. 43 r. Miało to miejsce najprawdopodobniej w Jerozolimie, przez ścięcie, z rozkazu Heroda Agryppy. Św. Jakub stał się tym samym pierwszym apostołem męczennikiem.

Przez morze

Według jednej z wczesnochrześcijańskich legend jego ciało, wyrzucone za mury miasta, zabrali uczniowie Atanasio i Teodosio i łodzią z portu Joppe (dziś Hajfa), dryfując wraz z prądem, prowadzeni przez anioła, po siedmiu dniach dopłynęli w pobliże miasta Iria Flavia w Galicji.

Tu po pokonaniu trudności stworzonych przez królową Lupeę (tę ze „Złotej Legendy”), która w końcu sama przyjęła nową religię, doczesne szczątki apostoła pochowano w rzymskim mauzoleum w Castro Lupario na pagórku Lbredón.

Z kolei „Breviarum Apostolorum” z przełomu VI i VII w. podaje że grób apostoła znajdował się wtedy w jakiejś nieokreślonej Achai Marmarice, co interpretowano jako „w Grobowcu z marmuru”.

Grób świętego w Santiago

W książce Hanny Marii Stefaniak „Camino de Santiago - między historią, legendą i mitem” znajdujemy kolejne informacje: „Najazdy Persów w 614 roku i Arabów w 636 roku spowodowały exodus mnichów, a wraz z nimi relikwii. Szczątki apostoła mogły więc odbyć drogę z Jerozolimy na Górę Synaj, następnie do Afryki”.

I dalej: „Najazdy zwolenników islamu na ziemię wcześniej chrześcijańskie spowodowały, że wraz z mnichami przemieszczającymi się na południe Europy wędrowały także relikwie świętych, w tym zapewne także relikwie apostoła Jakuba. Według tej wersji na sto lat przed znalezieniem grobu w Santiago w Galicji przybyć miały do Santiago de Compostela z Meridy”.

Legenda grobu apostoła w Santiago de Composteli poucza niedowiarów, że pustelnikowi imieniem Pelagiusz miał się objawić Jakub i poinformować go o położeniu jego zwłok.

Patron Hiszpanii

Od końca VI w. po Europie krążyły coraz bardziej fantastyczne opowieści o św. Jakubie Starszym, opisujące m.in. działania apostoła na krańcach Hiszpanii i wskazujące datę jego pochówku na 25 lipca. Izidor z Sewilli w dziele „De ortu et obitu patrum” wprost przedstawia świętego jako patrona Hiszpanii. Współczesne badania grobu apostoła pozwoliły ustalić na lapidarium napis-inkrypcję: Jakob wraz z symboliką, w estetyce właściwej dla pochówków judeochrześcijańskich z I w. Inne inkrypcje odnoszą się do symboli związanych z żydowskim świętem pierwocin i zniw - Szawuot.

W kamieniu wyźłobione są symbole chlebow obrzędowych. Wyźłobione są też języki ogniste będące symbolem zesłania Ducha Świętego na apostołów, jak również greckie litery „martyr”, pokrywające się częściowo z hebrajskim literami „Jacob”.

opr. zar



FOT. MARIUSZ GADOMSKI

Milicjanci szukali zaginionej butli na terenach kolejowych, w rejonie ulicy Krochmalnej. Zaglądano też na podwórka, do komórek i szop, rozpytywano ludzi

STRACH NAD MIASTEM

Butla wypełniona toksyczną zawartością zniknęła jak kamfora. Był problem, bo gdyby dostała się w niepowołane ręce, skutki mogłoby być tragiczne

Mariusz Gadomski

Lakupiona w zachodniemieckiej firmie chemicznej substancja o nazwie ETOX, wykorzystywana do sterylizacji strzykawek i narzędzi lekarskich jednorazowego użytku, dotarła do Lublina 19 kwietnia 1973 roku. 9 dni później, czyli 28 kwietnia dostawę w postaci 25 metalowych butli koloru czerwonego - każda o wadze ok. 90 kilogramów - przetoczono na bocznicę kolejową Państwowej Spedycji Kolejowej przy ulicy Krochmalnej. Poinformowano odbiorcę przesyłki, którym była Lubelska Spółdzielnia Farmaceutyczna „Inlek”, specjalizująca się w produkcji zestawów do pobierania i przetaczania krwi, że można ją odebrać.

Piętnaście zamiast szesnastu

Jednak tego dnia i następnego nikt się po nią zgłosił. Po butle, które zostały złożone

na rampie kolejowej, pracownicy „Inleku” przyjechali Żukiem dopiero 2 maja o godzinie 14. Załadowali na furgonetkę 9 pojemników i zawieźli je do magazynu spółdzielni. Z jakichś powodów tego dnia nie zabrali pozostałych 16. Być może byli nieco rozleniwieni po pierwszomajowym święcie. Butle przez całą noc stały na rampie.

Nazajutrz rano, gdy przyjechali po resztę dostawy, okazało się, że butli jest 15. Jedna zginęła. Przeszukano we własnym zakresie teren należący do Państwowej Spedycji Kolejowej, ale zguby nie odnaleziono. Nasuwał się oczywisty wniosek - butla została skradziona. Dozorca pytany czy ktoś w nocy kręcił się po rampie, bądź w jej pobliżu, odparł, że nikogo takiego nie zauważył. Stwierdził, że każdego dnia trafiają tu dziesiątki dostaw, również zagranicznych. Butle z RFN nie były więc żadną sensacją.

Pracownicy „Inleku” wpadli w popłoch. Nie chodziło tylko o to, że na skutek ich niefrasobliwości, doszło do kradzieży cennej przesyłki i mogą zostać pociągnięci do odpowiedzialności materialnej i służbowej. Wypełniająca butle substancją służącą do sterylizacji sprzętu medycznego została wytworzona na bazie tlenu i etylenu. Jest to organiczny związek chemiczny z grupy cyklicznych eterów. Ma silne właściwości wybuchowe i trujące. Sterylizacja strzykawek i narzędzi medycznych może się odbywać w specjalnej komorze, wyłącznie pod nadzorem uprawnionych osób.

Natomiast w niepowołanych rękach tlenek etylenu stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo. Manipulowanie przy zaworze butli mogłoby doprowadzić do wycieku znajdującego się pod ciśnieniem płynnego gazu. Zaledwie 5 procent zawartości pojemnika, po zmieszaniu z po-

wietrzem wystarcza do spowodowania śmiertelnego zatrucia człowieka. Ponadto, na skutek wstrząsu tlenek etylenu mógł eksplodować.

Milicja Obywatelska błyskawicznie zareagowała na informację o kradzieży groźnej substancji. Utworzono specjalną grupę, której zadaniem było odnalezienie butli. Do pomocy w poszukiwaniach zaangażowano wszystkie lubelskie posterunki i komisariaty MO, oraz funkcjonariuszy Służby Ochrony Kolei. Nazajutrz po ujawnieniu kradzieży do lubelskich gazet i radia przekazano komunikat o skradzionej butli, wraz z jej opisem: czerwonego koloru, nieco większa i cięższa od butli z propanem butanem do kuchenek. Na ściankach znajdowały się oznaczenie kolejności dostawy, napis ETOX, informacja w języku angielskim o pochodzeniu produktu (made in Germany) oraz trupia główka, symbolizująca śmiertelne zagrożenie. Ostrzeżono przed próbami otwierania butli.

Karygodna niefrasobliwość

Jednak ani prowadzone na szeroką skalę poszukiwania, ani apele prasowe nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Butla jakby się zdematerializowała, nikt o niej nic nie wiedział. Milicja skupiła swoje działania na terenach kolejowych, w rejonie ulicy Krochmalnej Zaglądano na podwórka, do komórek i szop, rozpytywano ludzi. Ważąc blisko 100 kilogramów butla mogła paść łupem handlarzy złodem, więc sprawdzano w skupach, czy coś takiego tam nie trafiło. Wszystko na próżno.

Do kradzieży niewątpliwie przyczyniła się niefrasobliwość kierownictwa i pracowników spółdzielni „Inlek”. Chociaż dobrze wiedzieli, jak niebezpieczny jest tlenek etylenu, i nie była to pierwsza dostawa z RFN tej substancji, to nie przewiezli do miejsca przeznaczenia wszystkich butli, a tylko część. Resztą zostawili beztrosko na wiele godzin na nieogrodzonym placu, gdzie praktycznie każdy mógł wejść. Natomiast przełożeni w ogóle nie zainteresowali się dlaczego nie dostarczono wszystkich butli.

Nie wiadomo czy ją odnaleziono

Poszukiwania pojemnika z tlenkiem etylenu nie przynosiły efektu. Milicja rozpatrywała różne scenariusze. Każdy z nich był pesymistyczny. Butla mogła istotnie zostać skradziona przez złodziarzy, którzy nie znając jej wartości sprzedali ją za parę złotych, a pracownicy skupu, w obawie przed groźnymi im konsekwencjami, nie przyznali się do tego, lecz ukryli pojemnik tak, że odnalezienie go graniczyło z cudem.

Ale była też inna opcja. Złodziej, albo ktoś, kto od niego kupił butlę, będzie ją chciał podłączyć do kuchenki gazowej w mieszkaniu, ignorując widniejące na niej ostrzeżenie, bo przecież to - zdaniem takich ludzi - lipa dla naiwnych. W takim przypadku, jeśli doszłoby do zapłonu gazu, w wyniku wybuchu tlenu azotu mógł wylecieć w powietrze cały budynek.

Nie wykluczano także działania szaleńca lub szantażysty. W każdej chwili należało się spodziewać, że ktoś taki się odezwie i zagrozi detonacją bloku, szkoły, urzędu. Jeśli kieruje się pobudkami materialnymi, zażąda okupu. Takie rzeczy co prawda działy się głównie w USA i w krajach zachodnioeuropejskich, ale w epoce Gierka Polska goniła resztę świata nie tylko gospodarczo...

Mieszkańcy Lublina byli świadomi śmiertelnego zagrożenia. O poszukiwaniach skradzionej butli z trucizną codziennie informowała prasa. O tym, że sprawa jest bardzo poważna świadczyła podwyższona gotowość milicji, która wzmogła patrole uliczne, i służby zdrowia, szykującej w szpitalach miejsca na oddziałach ratunkowych i na toksykologii. To wszystko sprawiło, że miasto spowijała atmosfera strachu. Nikt nie był pewny dnia ani godziny.

Nie wiadomo czy butla wypełniona 60 kilogramami substancji zawierającej tlenek etylenu nie została odnaleziona. Poszukiwania, które rozszerzono na całą Polskę, po kilku miesiącach zawieszono.

Kierownik na ławie oskarżonych

Finał tej sprawy odbył się w sądzie. Za niedopełnienie obowiązków w zakresie prawidłowego zabezpieczenia, składowania i transportu przesyłki odpowiedzialny Stanisław K. kierownik zaopatrzenia, zbytu i transportu w Lubelskiej Spółdzielni Farmaceutycznej „Inlek”.

Sledztwo Prokuratury Powiatowej dla miasta Lublina ujawniło, że dwaj robotnicy, wysłani przez kierownika z kierowcą po butle na kolej, nie pośpiesznie podpisał pokwitowanie odbioru i wraz z kolegami zaczął je ładować na Żuka. Nie można więc wykluczyć, że jedna z nich zaginęła już wcześniej, między 18 kwietnia, gdy transport dotarł do Lublina z Niemiec, a 28 kwietnia, kiedy po butle przyjechali pracownicy „Inleku”.

W ładowni furgonetki zmieściło się 9 sztuk i tyle zawieźli do magazynów. Po pozostałe już w tym dniu nie pojechali, ponieważ kierownik odmówił jazdy, tłumacząc się brakiem czasu. Zdaniem prokuratora, Stanisław K. wiedział, że

na rampie pozostało, praktycznie bez nadzoru kilkanaście butli z niebezpieczną substancją, ale pomimo tego nie zareagował na niewypełnienie polecenia przez podległych pracowników. Nie zlecił kursu innemu kierowcy. Uznał, tak jak jego podwładni, że butle mogą poczekać do jutra i w żaden sposób nie zatroszczył się by je zabezpieczyć. Ponadto robotnicy, których wysłał na kolej, nie znali groźnych właściwości ładunku. Nie wiedzieli, że ich obowiązkiem było zważenie butli i sprawdzenie zaworów.

Proces kierownika odbył się w czerwcu 1973 roku w Sądzie Powiatowym w Lublinie. Oskarżony próbował zrzucić odpowiedzialność na swoich podwładnych. Jednak sąd ustalił, że jedynym winnym w tej sprawie jest Stanisław K. Robotnicy tylko wykonywali swoją pracę, natomiast nadzór nad przesyłką zaniebdał kierownik zaopatrzenia. Wyrok zapadł 30 czerwca. Kazimierz S. został skazany na 1 rok więzienia i 9 tysięcy zł grzywny. Ze względu na jego dotychczasową gotowość i dobrą opinię skazanego, wykonanie kary pozbawienia wolności została mu warunkowo zawieszona na 2 lata.

W 1975 roku Lubelska Spółdzielnia Farmaceutyczna „Inlek” została przekształcona w firmę Polfa-Lublin. Działa do dziś, obecnie jako spółka akcyjna.

Eksplozja cysterny w Brzegu Dolnym

O tym, jak groźny w skutkach jest tlenek etylenu, świadczy wypadek, do którego doszło trzy lata później. 23 grudnia 1976 roku w Nadodrzańskich Zakładach Przemysłu Organicznego Rokita w Brzegu Dolnym. Specjalna cysterna kolejowa, którą transportowano pochodzący z RFN tlenek etylenu dla fabryki w Brzegu, została na granicy z Polską omyłkowo doczepiona do cysterny z amoniakiem, przeznaczonym na potrzeby produkcyjne innych zakładów przemysłowych. Tam stwierdzono, że doszło do omyłki i postanowiono odesłać tlenek etylenu do właściwego odbiorcy.

O godzinie 4.45 stojąca na bocznicę kolejowej brzeskiej fabryki cysterna eksplodowała. Stało się tak na skutek wtłoczenia do jej wnętrza ciekłego azotu podczas próby rozładunku. Siłę wybuchu oceniono na 70 ton trotylu a drgania ziemi odczuwano we Wrocławiu. Ofiar w ludziach nie było. Zniszczone zostały pomieszczenia magazynowe zakładów. Składowane tam różne materiały chemiczne, które zapaliły się i wywołały pożar. Na skutek eksplozji w wielu znajdujących się w okolicy domach wyleciały szyby z okien.

Zmieniono personalia.

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MICHAŁ CZERNECKI Nie był zadowolony z obecności fotoreporterów

W lipcu zeszłego roku pojawiła się informacja, że aktor rozwodzi się po 20 latach małżeństwa. W miniony wtorek Czernecki i jego żona pojawili się w sądzie na pierwszej rozprawie rozwodowej. Według relacji Pudelka aktor już od momentu wejścia do budynku był w wyjątkowo bojowym nastroju. - Dobrze się bawicie? - rzucił do obecnych na miejscu fotoreporterów. - Nie - odpowiedział jeden z nich. - Widzę coś innego - skwitował aktor. Czernecki podjął żywą dyskusję z fotoreporterami i wyraźnie nie był zadowolony z ich obecności na miejscu. Potem para przywitała się z sobą kulturalnie i weszła na salę z pięciominutowym opóźnieniem. Niecałe pół godziny później drzwi sali się otworzyły i żona aktora obwieściła z zadowoleniem: Jestem rozwiedziona.

AGNIESZKA KACZOROWSKA Poprosiła o urlop

Tancerka od dziecka związana jest z telenowelą „Klan”, gdzie wcieliła się w postać Bożenki. „Super Express” dowiedział się właśnie, że Kaczorowska niebawem zniknie na pewien czas z serialu. - Jest zmęczona i poprosiła scenarzystów o urlop. Ostatnio przez to, że jej bohaterka się rozwodzi, była tam mocno eksploatowana. Zaczęło być to dla niej kłopotliwe, bo sama w życiu prywatnym ma trochę za uszami, a tam przy okazji zdrady jej męża Bożenka zaczęła być wielką obrończynią moralności. Doszła do wniosku, że scenarzyści wykorzystali jej własne doświadczenia do promocji serialu i granie teraz zaczęło ją irytować - przekazała gazecie osoba z produkcji. To oznacza, że Bożenka niebawem wyjedzie niespodziewanie do Hamburga do swojej siostry Kasi. Kiedy wróci? Na razie wiadomo.

MARCELA LESZCZAK Ma dużo szacunku

W listopadzie ubiegłego roku modelka i Michał Koterski



Michał Wiśniewski od lat buduje dom, ale wszystko wskazuje na to, że w nim nie zamieszka

oficjalnie poinformowali o rozpadzie swojego małżeństwa. Mimo to oboje unikają prania brudów w mediach. - Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się dogadać. Różnie bywa, nie chcę mówić, że jest zawsze super, kolorowo. (...) Mamy dużo szacunku do siebie i myślę, że to działa w dwie strony. Michał nie pozwoliłby źle o mnie powiedzieć nikomu. Tak samo ja nie pozwolę nikomu źle powiedzieć o Michale. Na tyle lat wybrałam takiego partnera. Jest ojcem mojego ukochanego syna. Zawsze będzie częścią mojego życia - powiedziała Leszczak w niedawnym wywiadzie dla Plotka. Z kolei w rolce na InstaStories obwieściła: Nie jest OK pozostawać w miejscu, w którym nie jesteś szczęśliwa, doceniana ani szanowana. Teraz moje życie jest naprawdę OK i w końcu moje.

PIOTR KĘDZIERSKI Nie chce epatować związkami

Od kiedy dziennikarz wywija hołubce na parkiecie „Tańca z gwiazdami”, media zainteresowały się jego życiem prywatnym. W rozmowie z serwisem Party Kędziarski zdradził, że jego serce od kilku lat jest zajęte przez Agatę Biernat, która w 2017 roku zdobyła tytuł Miss Polonia. Zakochani nie chcą jednak epatować swoim związkiem. - Praca to jedno, wizerunek to drugie i nie chciałbym, żebyśmy mieszały tej intymnej sfery ze sferą popularną. Nie chciałbym, żeby jakiegokolwiek moje zachowanie odbiło się na życiu, pracy mojej drugiej połówce, więc posta-

nowiliśmy to sobie w czterech ścianach zamknąć i nie wypuszczać - powiedział. Taneczna partnerka dziennikarza z show Polsatu - Magda Tarnowska - miała okazję poznać jego ukochaną i nie szczędziła jej komplementów: Jest przepiękna, cudowna, miła i wspiera Piotra jak może.

MICHAŁ WIŚNIEWSKI Przeliczył się z kosztami budowy

Trzy lata temu frontman Ich Troje rozpoczął wraz z żoną budowę gigantycznego domu pod Warszawą w malowniczej miejscowości Łoś. Działka, na której stanęła willa, ma ponad 6 tys. mkw., a sama rezydencja liczy aż 570 mkw. Dom miał pomieścić całą rodzinę oraz zapewnić przestrzeń do pracy zespołu. Projekt wnętrz w dużej mierze powstał dzięki Poli, która zadbała o domową część inwestycji, podczas gdy Michał skupiał się na przestrzeni dla Ich Troje. Kolejne etapy budowy Wiśniewscy dokumentowali na YouTube w internetowym formacie „Jestem, jaki jestem 3”. W pewnym momencie tempo budowy spadło. „Nie spodziewałam się tego, że koszty będą tak ogromne” - powiedziała Pola. Po tym, jak w zeszłym tygodniu Wiśniewski ogłosił rozstanie z żoną, wszystko wskazuje na to, że małżonkowie nie zamieszkają nigdy razem w willi. Wykończenie domu zajmie pewnie jeszcze kilka miesięcy, a w tym czasie para zapewne zajmie się rozwodem i rozejdzie się na dobre.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852
Przez internet: www.kurierlubelski.pl e-mail: reklama@kurierlubelski.pl
W Biurze Reklamy:

LUBLIN
Biuro Ogłoszeń
Krakowskie Przedmieście 10
tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

LUBLIN
Biuro Reklamy
Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3
tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

Auta każde, uszkodzone i całe, motocykle, ciągniki rolnicze, poleasingowe. Najkorzystniej, gotówka, 798-566-274

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MONTAŻ karniszy, suszarek, żyrandoli, szafek, mebli, zamków, ścianki działowe, sufity podwieszane, malowanie, hydraulika, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

OKNA, konserwacja, regulacja, uszczelnianie. Balkony, tarasy - sufity, ściany, balustrada, terakota, 601-351-338

Remonty, wykończenia mieszkań i lokali - kompleksowo, naprawy hydrauliczne, elektryczne drobne naprawy 508-56-56-52, 81740-03-99

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy, remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie kanalizacji, elektryka, nietypowe zlecenia, 601-351-338

INNE

KOMPLEKSOWE uprzążanie, strychów, garaży, mieszkań, wywóz sprzętu AGD, złomu, gruzu, starych, zepsutych mebli, koszenie zaniedbanych działek kosą spalinową, rozdrabnianie gałęzi rębakiem, 530-373-641

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba 601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 668-571-329

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

Skup ciągników rolniczych, każdy stan. 512-709-001

Skup pras belujących. 512-709-001

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

SANDRA, 885-213-554

AUTOREKLAMA

Polecamy →

motofakty.pl



**Motoryzacja
na wysokich obrotach**

motofakty.pl

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dziś działaj odważnie, ale nie w pośpiechu. Horoskop dzienny zapowiada, że jedna spokojna decyzja da więcej niż trzy szybkie ruchy.

Ryby (19.02 - 20.03)
Postaw na wygodę oraz spokój. Horoskop na dziś stanowczo wróży, że ktoś doceni Twoją cierpliwość.

Baran (21.03 - 19.04)
Rozmowa otworzy Ci ważne drzwi. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo drobny szczegół zmieni bieg wydarzeń.

Byk (20.04 - 20.05)
Będziesz w doskonałej formie. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że dużo uda Ci się osiągnąć.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Masz naturalny blask i siłę przekonywania. Horoskop na dziś radzi wykorzystać to mądrze i zyskać zaufanie.

Rak (22.06 - 22.07)
Porządek w planach przyniesie ulgę. Horoskop dzienny na piątek radzi nie poprawiać wszystkiego naraz - mały krok dziś wystarczy.

Lew (23.07 - 22.08)
Szukaj równowagi między obowiązkiem a przyjemnością. Horoskop dzienny mówi, że ktoś może dziś potrzebować Twojego spokoju.

Panna (23.08 - 22.09)
Warto zaufać swoim pryncypom. Horoskop na dziś przypomina, że nie wszystko musi być jasne od razu, by okazało się właściwe.

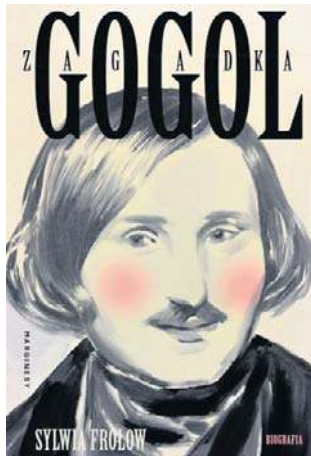
Waga (23.09 - 22.10)
Poczujesz chęć zmiany lub ruchu. Horoskop dzienny na piątek mówi, że spacer albo nowy pomysł doda Ci energii.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Skupienie będzie Twoją supermocą. Horoskop dzienny zapowiada, że to dobry dzień, by zamknąć zaległą sprawę i odzyskać spokój.

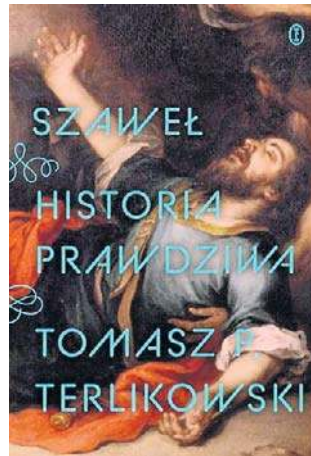
Strzelec (22.11 - 21.12)
Niecodzienny pomysł może dziś okazać się strzałem w dziesiątkę. Horoskop na dziś radzi nie bać się wyjść poza schemat.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość będzie dziś Twoim atutem. Horoskop dzienny na piątek mówi, że ktoś bliski będzie potrzebował ciepła, które da bez wysiłku.

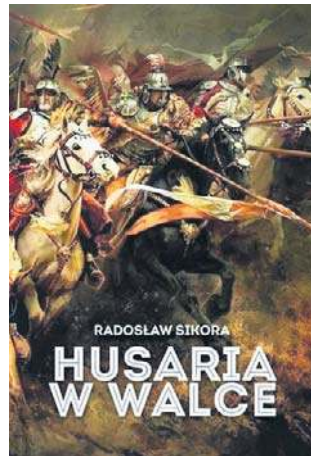
CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW OPUBLIKUJEMY WKRÓTCE.



Sylwia Frołow „Zagadka Gogol”
Biografia Nikołaja Gogola – genialnego ukraińsko-rosyjskiego pisarza, dramaturga i publicyści, autora Rewizora i Martwych dusz, celebryty swoich czasów i postaci pełnej sprzeczności. Wybitny pisarz, do dzisiaj swoimi tekstami wywołujący salwy śmiechu, a jednocześnie noszący w sobie kosmiczną groźbę. Potężny duch w rachitycznym, brzydkim ciele, borykający się ze swoją orientacją seksualną, dewocją, chorobami i psychozami. Potrafił być odstręczający i nadspodziewanie uroczy, w towarzystwie raz do rozpuku zabawny, raz uchodzący za gburę. Wieczny uciekinier tułający się po drogach Europy. Do tego Ukrainiec z dużą chachłacką i rosyjską. To ponadczasowy mistrz definiowania ludzkich słabości.
Marginesy



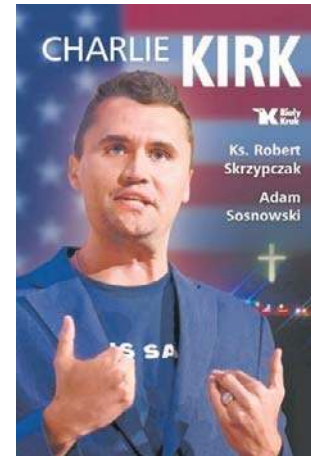
Tomasz Terlikowski „Szawel. Historia prawdziwa”
Kim był Szawel, zanim stał się apostołem? Czym w istocie mógł być moment jego nawrócenia? Oto kolejna po „To ja, Judasz” nieoczywista biografia autorstwa Tomasza P. Terlikowskiego. Autor widzi Pawła z Tarsu nie jako postać graniczną, oddzielającą chrześcijaństwo od judaizmu. Przeciwnie – postrzega go jako ogniwo łączące dwie wielkie religie. Apostoł Paweł sam siebie opisywał bowiem jako faryzeusza i pobożnego żyda. Czy wobec tego był dla judaizmu tym, kim dla katolicyzmu stał się Marcin Luter – reformatorem, który wbrew własnym zamierzeniom położył fundamenty pod nową wspólnotę religijną? Postać niejednoznaczna i ważna dla historii chrześcijaństwa.
Wydawnictwo Literackie



Radosław Sikora „Husaria w walce”
Książka ukazuje najświetniejszą polską formację kawalerii w starciu z różnymi przeciwnikami - reprezentującymi zupełnie inną doktrynę wojenną, sposób wojowania i arsenał wyposażenia bojowego. Książka fachowa, obficie sięgająca po obce źródła historyczne z epoki. Lektura obowiązkowa dla miłośników polskiego oręża. W ciągu niemal trzech stuleci istnienia husarii, miała ona do czynienia z bardzo różnorodnym przeciwnikiem. Książka omawia kilka ich rodzajów, wyjaśniając w jaki sposób polscy rycerze radzili sobie z nimi. Radosław Sikora, doktor nauk historycznych, jest ekspertem do spraw husarii, autorem książek i publikacji z zakresu staropolskiej wojskowości i kawalerii.
Zona Zero



Sebastian Fitzek „Mimika”
Hannah Herbst, ekspertka od analizy mimiki i policyjna konsultantka, potrafi wychwycić najmniejszy sygnał zdradzający prawdę. Gdy zmaga się z utratą pamięci, trafia na swój najstraszniejszy przypadek: kobieta przyznaje się do brutalnego zamordowania rodziny i ucieka z więzienia, a jedynym ocalałym jest jej syn Paul. Hannah ma tylko krótkie nagranie, które ma pomóc ujawnić prawdę. Odtwarzając je, odkrywa coś niewyobrażalnego – morderczynią na filmie jest... ona sama. Mroczny, wielowarstwowy psychotriller niemieckiego mistrza gatunku, autora bestsellerów, którego fabuła zmrozi nawet gotowych na wszystko czytelników Donato Carrisiego czy Jo Nesbo.
Albatros



Ks. Robert Skrzypczak, Adam Sosnowski „Charlie Kirk”
Książka łączy w sobie reportaż, publicystykę i duchową medytację. Fantastycznie ilustrowana, co bardzo przybliża zarówno samego Charliego Kirka, jak i poruszane w książce zagadnienia. To nie tylko biografia, ale także duchowy i kulturowy portret czasów, w których wiara w Jezusa, prawda i odwaga znów muszą stanąć do walki o duszę człowieka. Charlie Kirk głosił z wielkim sukcesem wartości chrześcijańskie, nazywane konserwatywnymi, a tak naprawdę ponadczasowe. „Charlie Kirk” to książka o człowieku, który przypomniał światu, że chrześcijaństwo może nie jest ani wygodne, ani łatwe – ale jest piękne oraz stanowi jedyną możliwą drogę dla człowieka.
Biały Kruk

NASZE SMAKI

Gdy u naszych prababci wypastowane na wysoki połysk podłogi pachniały już czystością, a w całym domu unosiła się woń tartego chrzanu, pieczonych mazurków, tortów i wędzonej szynki, przychodził czas na nią – królową wielkanocnego stołu.

I to bez cienia przesady, bo wiem kto dziś piecze babę wielkanocną z 96 jaj? A właśnie takie babki piekło się dawniej. Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka dziesięciu nastoletnich poradników kucharskich (warto wspomnieć, że jej książki sprzedawały się lepiej niż „Trylogia” Sienkiewicza!), właśnie tyle jaj zalecała do wielkanocnej babki.

Inne autorki dawnych książek kucharskich nie były aż tak rozrzucone, ale wszystkie podkreślały, że baba jest nieobliczalna. My mamy dla Was przepis, z którym poradzi sobie każdy, a baba wyjdzie znakomita.

Babka ananasowa

Składniki:
* 1 i 1/4 kostki masła (około 250 g)
* 4 jajka
* 3 szklanki mąki pszennej
* 1 i 1/3 szklanki cukru
* 2 łyżeczki proszku do pieczenia
* 1 duża puszka plasterów ananasa
* 50 g mielonych migdałów
* 2 łyżki likieru pinacolada
Dodatkowo:



* 2 tabliczki białej czekolady
* 3 łyżki słodkiej śmietanki 30%
* 20 g płatków kokosowych
* czekoladowa posypka

Masło utrzeć z cukrem na puszystą masę. Dodawać po jednym jajku,

cały czas ucierając. Odsączony ananas zmiksować na gładki mus i również powoli dodawać do kremu. Mąkę z proszkiem do pieczenia przesiać przez sito, dodać mielone migdały i wymieszać. Po odrobinie

dodawać do masy, cały czas ucierając ją na najmniejszych obrotach. Na końcu dodać likier pinacolada. Ciasto przelać do wysmarowanej tłuszczem i posypanej bułką tartą formy. Piec w nagrzanym do 170 stopni piekarniku do suchego patyczka (około godziny). Jeśli w trakcie pieczenia wierzch babki zbyt szybko się rumieni, możemy przykryć go folią aluminiową. Przystudzoną babkę poleać obficie roztopioną w kąpiel wodnej czekoladą ze śmietanką. Posypać płatkami kokosu i granulatem czekoladowym.
Przepis Joanny Tokarz, autorki bloga „Kuchnia w czekoladzie” (mad)

Ten ostatni weekend w Planicy. Stoch zegna się ze skokami

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Puchar Świata w lotach w Planicy to ostatni akord sezonu. Dla Kamila Stocha to także pożegnanie z kibicami - kończy piękną karierę.

Plany organizatorom pokrzyżowała pogoda. Planica kojarzy się z wiosenną aurą, dobrą zabawą w blasku słońca. W czwartek było zupełnie inaczej - wróciła zima, padał gęsty, mokry śnieg, który zmuszał co rusz do prac porządkowych na najeździe i zeskoku. W efekcie z dwóch serii treningowych udało się rozegrać, z przerwami, tylko jedną, a i tak przekroczono wstępnie planowany termin.

Ostatecznie kwalifikacje się odbyły, ale nie była to dobra promocja skoków narciarskich. Na Letalnicy można uzyskać ponad 250 m, a wczoraj był problem z lądowaniem za 200 m.

Polacy większej roli w zawodach nie odegrali: trzech z nich dostało się do konkursowej „40” (w lotach jest mniej miejsc niż w innych PS). Najwyżej był 36. Piotr Żyła, za nim 38. Aleksander Zniszczoł i 40. Stoch (niewiele brakło 41. Dawidowi Kubackiemu, trochę więcej 48. Klemensowi Joniakowi).

Wygrał Słoweniec Anze Lanisek, choć skoczył tylko 211 m. Domen Prevc (234,5 m) był drugi.

Oczy fanów skoków narciarskich w ten weekend zwrócone



FOT. MARGON SZKODZIŃSKI

W zawodach w Planicy Kamil Stoch po raz ostatni wystąpi w Pucharze Świata. Nasz mistrz kończy karierę

są właśnie na Stocha, dla którego start w Planicy jest ostatnim w karierze na skoczni. Z polską publicznością i kibicami pożegnał się już w styczniu w Zakopanem. Po zawodach na Wielkiej Krokwi odbyła się mała uroczystość, nie zabrakło łez.

Teraz Stoch będzie się żegnał - w roli zawodnika - ze społecz-

nością całych skoków narciarskich. Patrząc na jego karierę, to, ile zrobił dla dyscypliny, to nie tylko „nasze” dobro narodowe, ale i światowego sportu. Jest przecież jedną z największych gwiazd sportów zimowych.

Przed tym sezonem zapowiedział, że w końcu podjął decyzję, którą już kilkakrotnie odkładał

- o zakończeniu kariery. Nie ma co ukrywać, że ostatnie lata nie były sportowo dla niego udane. Ostatnie zwycięstwo w Pucharze Świata odniósł ponad 5 lat temu - w styczniu 2021 r., na podium indywidualnie był w grudniu 2021 roku. Potem forma (jak zresztą całej naszej kadry) gdzieś uleciała. I tak już zostało.

Jak na mistrza przystało, Stoch nie poddał się. Próbował odnaleźć klucz do sukcesu, ale to mu się nie udało. Początek tego sezonu był dość obiecujący, lecz oczekiwany przełom nie nastąpił. Ostatnio miał problem nawet z awansem do konkursu: nie powiodło mu się w Vikersund.

Do piątkowych zawodów w Planicy (godz. 15) z trudem się dostał, zapewne wystąpi też w sobotniej „drużynówce” oraz w niedzielnej finale PS. Te ostatnie zawody mają inną formułę - zaprezentuje się w nich czołowa „30” PS. Stoch na razie jest 31., Żyła 32. Niemniej zabraknie dwóch zawodników z wyższych pozycji - Kacpra Tomasiaka i Jana Hoerla - więc szansa na ten finałowy start jest duża. Tyle że trzeba się obronić w piątek (przewaga nad kolejnym zawodnikiem to ponad 30 pkt.).

Wyniki kwalifikacji: 1. Anze Lanisek (Słowenia) 242,5 (211 m), 2. Domen Prevc (Słowenia) 240,3 (234,5 m), 3. Stephan Embacher (Austria) 239,7 (230 m)... 36. Piotr Żyła (Polska) 186,1 (194 m), 38. Aleksander Zniszczoł (Polska) 184,6 (198 m), 40. Kamil Stoch (Polska) 180,6 (190 m), 41. Dawid Kubacki (Polska) 171,9 (199 m), 48. Klemens Joniak (Polska) 163 (181,5 m). ©©

Iga Świątek po zwolnieniu trenera wyrusza na Majorkę do Akademii Rafała Nadala

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Iga Świątek po zwolnieniu trenera Wima Fissette'a nie zdecydowała się na szybkie zatrudnienie następcy Belga. Na razie postanowiła wyjechać na Majorkę do Akademii Rafała Nadala.

Iga Świątek zaskoczyła na początku tygodnia rozstaniem ze szkoleniowcem Wimem Fissette'em po odpadnięciu na starcie turnieju Miami Open z 50. na liście WTA Magdą Linette.

„Po wielu miesiącach współpracy z moim trenerem @fissette'em zdecydowałam się obrać inną drogę. To był intensywny czas pełen wyzwań i wielu ważnych doświadczeń. Jestem wdzięczna za jego wsparcie, doświadczenie i wszystko, co razem osiągnęliśmy” - zakomunikowała Świątek na swoim koncie na Instagramie.

„Reszta mojego zespołu pozostaje bez zmian. Wiem, że jest wiele pytań, ale dam wam znać, co będzie dalej, we właściwym czasie. Poświęcam chwilę, aby zadbać o siebie, przetworzyć to doświadczenie i przygotować się na nowy rozdział” - dodała.

Od razu po tej nagłej decyzji „rozvodu” z trenerem, który prowadził Igę przez 18 miesięcy, świętując z nią 4 tytuły (Wimbledon, Cincinnati, Seul i drużynowy United Cup w Sydney) rozgorzała dyskusja, kto zastąpi belgijskiego coacha w sztabie sześciokrotnej mistrzyni Wielkiego Szlema.

Wśród potencjalnych następców Fissette'a początkowo wymieniany był ojciec duńskiej tenisistki, byłej pierwszej rakiety świata i triumfatorce Australian Open, Caroline Wozniacki - Piotr. 63-letni rodzic Caroline od razu jednak zdemontował plotki o podjęciu wspól-

pracy ze Świątek, twierdząc, że jako dziadek musi opiekować się wnukami. Zasugerował jednak głośne nazwisko w tenisowym świecie - męża byłej tenisowej gwiazdy Agnieszki Radwańskiej, Dawida Celta, który jest wziętym komentatorem tenisowym oraz kapitanem kobiecej reprezentacji Polski w meczach Pucharu Billie Jean King, w których również prowadził Świątek.

Trzecia obecnie rakieta świata nie podjęła jednak tematu wyboru Celta na swojego coacha. Zdecydowała się wyjechać, jak w zeszłym roku, na Majorkę, aby w ciszy i spokoju przygotować się w tamtejszej Akademii Rafała Nadala do sezonu na kortach ziemnych. Oczekuje się, że będzie jej towarzyszył szkoleniowiec, który jest rozważany jako kandydat na nowego trenera.

Informacje te pochodzą głównie od trenerki filipińskiej tenisistki Alexandry Eali, Joan Bosch, która zwróciła się do akademii z prośbą o zorganizowanie sesji treningowej z byłą numer 1 światowego rankingu po jej przyjeździe na Baleary.

Trener przygotowania fizycznego Świątek, Maciej Ryszczuk, ujawnił, że Iga ma nadzieję znaleźć następcę Fissette'a w ciągu najbliższych kilku tygodni. Plan zakładał, że Świątek pojedzie na pierwszy turniej na maczce WTA 500 Porsche Tennis Grand Prix w Stuttgarcie z nowym trenerem. Halowy turniej na kortach ziemnych rozpocznie się 13 kwietnia, pozostawiając niecałe trzy tygodnie na znalezienie nowego mentora.

Oznacza to, że Iga nie zagra w reprezentacji Polski w meczu BJCK z Ukrainą w Gliwicach 10-11 kwietnia. ©©

Młodzieżówka Brzęczka podejmuje Armenię

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

Dzisiaj w Radomiu prowadząca w tabeli grupy eliminacji młodzieżowych mistrzostw Europy bez straty punktu reprezentacja Polski podejmuje Armenię.

Polska młodzieżówka pod wodzą Jerzego Brzęczka walczy o awans do finałów Euro U-21 i udział w turnieju olimpijskim w Los Angeles 2028.

Po sześciu meczach w sześciodrużynowej grupie E kwalifikacji MME Biało-Czerwoni z kompletem punktów wyprzedzają Włochy (3 punkty straty do lidera), Czarnogórę i Szwecję (po 9 punktów straty), Macedonię Północną (3 pkt na koncie) i Armenię (bez punktu).

Do zakończenia rozgrywek grupowych wszystkie zespoły mają do rozegrania po 3 mecze.



FOT. SYLWIA DĄBROWA

Jerzy Brzęczek dmucha na zimne w kwalifikacjach młodzieżowych mistrzostw Europy 2027

- Jesteśmy w bardzo dobrej sytuacji wyjściowej, ale przed nami jeszcze daleka droga - podkreślił na pierwszej odprawie selekcjoner Brzęczek.

W wiosennym oknie reprezentacji polska młodzieżówka podejmie w piątek, 27 marca, Armenię, z którą wygrała na wyjeździe 4:0, a we wtorek,

31 marca, zagra na wyjeździe w Tuzi z Czarnogórą, którą w październiku odprawiła 2:0.

Pod znakiem zapytania stał przyjazd na przedmeczowe zgrupowanie bohatera meczu z Włochami (2:1), który strzelił zwycięskiego gola w Szczecinie, Macieja Kuziemki, który w ligowym spotkaniu Wisły

Kraków z Odrą Opole już w 10. minucie opuścił boisko z powodu urazu oczodołu. „Kuziem” dołączył jednak do kadry i przygotowywać się będzie do drugiego spotkania z Czarnogórą.

Z młodzieżówką przebywa też kapitan reprezentacji U-21 Tomasz Pieńko, którego Brzęczek pominął przy powołaniach z powodu kontuzji. Pieńko nie trenuje z kadrą, ale pracuje z fizjoterapeutami, wpływając na morale zespołu.

Selekcjoner zaprosił też trzech trzech zawodników, którzy wcześniej w reprezentacji U-21 nie grali: Szymona Bartlewicza (rocznik 2005) z Chrobrego Głogów, Daniela Mikołajewskiego (2006) z Parmy i Wojciecha Mońkę (2007) z Lecha Poznań.

Mecz z Armenią rozpocznie się o godzinie 18. Transmisję przeprowadzi TVP Sport. ©©



FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek po sensacyjnym zwolnieniu trenera Wima Fissette'a postanowiła polecieć na Majorkę poćwiczyć w ciszy i spokoju w Akademii Rafała Nadala

SPORT

www.sportowy24.pl

Aleksandra Rosiak,
rozgrywająca MKS: „Nie
możemy się już potknąć”Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

PIĘKA RĘCZNA. To miało być jedno z najbardziej emocjonujących spotkań ostatnich lat. Starcie pomiędzy PGE MKS El-Volt, a Zagłębiem Lublin zakończył się zwycięstwem „Miedziowych” 28:25.

Przyjemne bezlitośnie wykorzystywały błędy miejscowych, narzucając wysokie tempo i konsekwentnie budując przewagę.

- O naszej przegranej zadecydowała bardzo słabo rozegrana pierwsza połowa. Przed zejściem na przerwę traciliśmy bowiem aż osiem bramek do Zagłębia - podkreśla Aleksandra Rosiak, rozgrywająca PGE MKS El-Volt. - Kluczowy dla losów meczu był także przestój w premierowej odsłonie, gdy ze stanu 6:4 dla nas, zrobiło się aż 17:8 dla przeciwniczek. W drugiej odsłonie zaczęliśmy grać zdecydowanie lepiej, wracaliśmy powoli na właściwe tory, jednak czegoś nam brakowało, by dogonić rywalki. Zabrakło nam przede wszystkim skuteczności w ofensywie, gdyż stwarzałyśmy sobie przecież znakomite pozycje do rzutów, jednak lubińska bramkarka popisywała się świetnymi interwencjami - dodaje.

Tak ciekawego sezonu w krajowej elicie szczyptomistek dawno nie mieliśmy. Ostatnie lata w tych rozgrywkach zdecydowanie zdominował team trenerki Bożeny Karkut, który od kampa-



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

nii 2020/21 nieprzerwanie sięgał po złote kraszki. Ewentualna porażka w Lublinie mogłaby sprawić, że ta świetna seria triumfów zostanie przerwana.

MKS pomimo porażki został co prawda zepchnięty z pozycji lidera tabeli ORLEN Superligi Kobiet, ale wciąż sprawa mistrzostwa pozostaje sprawą otwartą. Do końca rozgrywek pozostało jeszcze pięć kolejek. Co ciekawe, biało-zielone sezon zakończą w Lublinie, rywalizując właśnie z „Miedziowymi”.

- Bardzo szkoda nam środowego meczu, ale wiemy jakie mamy cele w tym sezonie i nie możemy się już potknąć - zaznacza Aleksandra Rosiak. - Na pewno będziemy walczyć, musimy wygrać wszystkie pojedynki do końca rozgrywek, bo naprawdę chcemy zdobyć tytuł mistrzowski - kończy. ©©

KOSZYKÓWKA

LOTTO AZS UMCS Lublin po raz trzeci pokonał Wisłę Kraków i awansował do półfinału mistrzostw Polskie. Akademicki zwyciężył pod Wawelem 60:51 i ich następnym przeciwnikiem będzie 1KS Śląza Wrocław (serię z Energa Toruń wygrała 3-0). Pierwsze dwa mecze półfinału odbędą się w Lublinie (1 i 2 kwietnia), trzeci i ewentualny czwarty we Wrocławiu (7 i 8 kwietnia), a ewentualny piąty znów w Lublinie (11.04).



FOT. ANNA KACZMARZ

ŻUZEL

Ekstraligowe ściganie
W sobotę (godz. 19) najlepsi żużlowcy PGE Ekstraligi (m.in. Zmarzlik i Vaculik z Motoru) pojedają w Łodzi w Indywidualnych Międzynarodowych Mistrzostwach Ekstraligi.

Na tę wiadomość kibice żużla
czekali od latAleksandra Szymczak
Artur Jurkowski

ŻUZEL. Lublin rozpoczyna jedną z największych inwestycji sportowych ostatnich lat. Stadion żużlowy przy Al. Zygmuntońskich ma przejść kompleksową metamorfozę i stać się nowoczesnym, wielofunkcyjnym obiektem dla ponad 16 tysięcy widzów. Ogłoszono już przetarg na realizację zadania.

Inwestycja zostanie zrealizowana w formule „zaprojektuj i wybuduj”, co oznacza, że wybrany wykonawca będzie odpowiedzialny zarówno za opracowanie dokumentacji projektowej, jak i wykonanie robót budowlanych.

Postępowanie obejmuje kompleksową przebudowę i rozbudowę obiektu, który po modernizacji zyska nowoczesny i wielofunkcyjny charakter.

- Stadion przy Al. Zygmuntońskich to miejsce z historią i wyjątkowym klimatem, dlatego jego modernizacja stanowi naturalny krok w kierunku dalszego rozwoju. Planowana przebudowa pozwoli nie tylko zachować jego charakter, ale także znacząco poprawi komfort zawodników i kibiców, otwierając nowy rozdział w jego funkcjonowaniu - podkreśla Krzysztof Żuk, prezydent Lublina.

Oferty będą oceniane nie tylko pod względem ceny, ale także długości gwarancji oraz



FOT. MIASTO LUBLIN

Według planów miasta żużlowcy wyjadą na nowy stadion wiosną 2028 roku

doświadczenia głównego projektanta.

- Oczekujemy od wykonawcy przygotowania rzetelnej dokumentacji oraz terminowej realizacji inwestycji. Zależy nam na sprawnym przeprowadzeniu procedury i wyborze doświadczonego partnera, który wykona projekt na wysokim poziomie - wyjaśnia prezydent.

Istotnym elementem procedury jest obowiązkowa wizja lokalna. Firmy, które nie wezmą w niej udziału, zostaną wykluczone z postępowania.

Termin składania ofert upływa 6 maja. Po rozstrzygnię-

ciu przetargu wykonawca będzie miał dziewięć miesięcy na przygotowanie projektu.

Roboty budowlane rozpoczną się bezpośrednio po zakończeniu etapu projektowego. Zakończenie całej inwestycji planowane jest na 2028 rok.

Po przebudowie stadion przejdzie całkowitą transformację. Obiekt zostanie zaprojektowany dla 16,6 tys. widzów, czyli ponad dwa razy więcej niż obecnie. - Lublin jest miastem sportu, a drużyna żużlowa przez ostatnie sezony i dzięki zdobytym medalom umocniła się na arenie krajowej. I teraz jest moment,

żeby ten obiekt spełniał warunki XXI wieku. Cieszymy się i mamy nadzieję, że wszystkie terminy, jakie wyznaczone są w tych wyciecznych dla wykonawców uda się zrealizować - podkreślił Piotr Więckowski, wiceprezes Orlen Oil Motor Lublin.

Pod stadionem powstanie parking podziemny, który będzie mógł pełnić funkcję miejsca dożalnego schronienia. Budowa kładki nad rzeką Bystrzycą zostanie zrealizowana w odrębnym postępowaniu przetargowym. Postępowanie prowadzi Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Lublinie. ©©



FOT. PAPIRADEK PIETRUSZKA

Siatkarze z Lublina przegrali pierwszy mecz ćwierćfinału Ligi Mistrzów z Projektem Warszawa

Kluczowe mecze siatkarzy Bogdanki LUK

Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

SIATKÓWKA. W sobotę Bogdanka LUK Lublin zmierzy się w hali Globus ze Skrą Bełchatów w pierwszym meczu 1/4 finału fazy play-off PlusLigi. Potyczka rozpocznie się o godz. 20.

Podopieczni trenera Stephane'a Antigi przystąpią do fazy play-off z trzeciego miejsca. Bogdanka LUK trafiła w tej fazie na PGE GiEK Skrę, która zajęła szóstą pozycję po rundzie zasadniczej.

Obie drużyny mają zdecydowanie inne cele na ten sezon. Faworytem ćwierćfinału są mistrzowie Polski. W Bełchatowie wszyscy pamiętają wygraną 3:1 w Lublinie z trwającej kampanii. Była to wtedy pierwsza porażka lubelskiego zespołu w sezonie.

17 stycznia, Bogdanka LUK w najlepszy możliwy sposób odpowiedziała natomiast na niepowodzenie przed własną publicznością, pokonując Bełchatowian w ich hali 3:0.

- Na pewno kibice mogą się spodziewać walki i zaangażowa-

nia. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że zapewniliśmy sobie udział w fazie play-off w tym sezonie, natomiast jesteśmy głodni zwycięstw. Chcemy wygrać dalej, więc na pewno damy z siebie wszystko - podkreśla Michał Róg, drugi trener Skry.

Rywalizacja na tym etapie toczy się do dwóch zwycięstw. Drugi mecz pomiędzy Bogdanką LUK, a Skrą został zaplanowany 4 kwietnia w Bełchatowie. Jeśli po dwóch bataliach będzie remis, to o wszystkim zadecyduje trzeci bój w hali Globus (8 kwietnia, godz. 20).

Zaledwie cztery dni po ligowym starciu z Bełchatowianami, Bogdankę LUK czeka rewanż z PGE Projektem Warszawa w ćwierćfinale Ligi Mistrzów (1 kwietnia). Pojedynek w hali Globus rozpocznie się o godz. 18.

Lublinianie byli faworytem ćwierćfinałowej rywalizacji, jednak w pierwszym spotkaniu, którego stawką jest wyjazd na turniej Final Four w Turynie (16-17 maja), wyraźnie lepsza była drużyna ze stolicy, wygrała 3:1 i to ona jest bliżej występu w Italii. ©©